Nr. 7. Poznań, Niedziela 13go Maja 1894 r. Rok I

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Bramkowa ul. 7.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Preumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ:

POLITYKA.

Przegląd prasy słowiańskiej:

„Hlas“, organ czeskiego stronnictwa katolicko-ludowego na Morawie pisze:

„Stanowisko stronnictwa naszego wobec podjętej na nowo z taką gwałtownością agitacyi młodoczeskiej na Morawie jest jasnem i każdemu zrozumiałem. Na stanowisku tem wytrwa nasze stronnictwo mimo groźby radykała Dr. Strauskiego i „Narodnich Listów“. Wypowiedziano nam walkę, ale my jej się nie lękamy. Duchowieństwo czeskie udowodniło już tylokrotnie, że umie za sprawę Kościoła i narodu walczyć, a dowód swej mężności i stateczności złoży także dzisiaj. Mylą się „Narodni Listy“, jeżeli sądzą, że ich groźbami damy się ustraszyć. Walki nie szukaliśmy, ale jej też nie unikamy.

„Nie walczymy za sprawę osobistą, za sprawę jednego stanu, lecz za świętą prawdę i o lepszą przyszłość naszego ludu. Młodoczesi straszyli nas, że rozwiną program liberalny, czego dotąd ze względu na naszą neutralność nie uczynili.

„Walcząc w imię katolicyzmu ludu czeskiego, za wieczną prawdę prawo i sprawiedliwość, które liberalizm podkopuje, nie mamy się lękać. Młodoczesi, wyznając zasady liberalne i socyalistyczne, są przeciwni duchowi narodu czeskiego, który chce zostać na gruncie wiary i narodowości. Gdy lud morawski te ukryte tendencye Młodoczechów odkryje, nie wątpimy, że się od nich odwróci, jako od ludzi, którzy tylko na szkodę naszego narodu działają.“

* * *

„Narodni Listy“ o stosunkach narodowościowych na Śląsku austryackim piszą:

„Kwestya śląska staje się znowu aktualną. Koło polskie nagle przypomniało sobie Polaków na Śląsku, o których tak długo nic wiedzieć nie chciało. Ale są wszelkie dane po temu, że Polacy znani ze swego mistrzostwa w odkładaniu spraw na później i znowu kwestyę śląską ad calendas polonicas odłożą. Dość będzie na okazaniu dobrej woli.

„Zaciekawiającym jest atoli ów popłoch, jaki z tego powodu powstał w obozie niemieckim, a zwłaszcza w kołach lewicy parlamentarnej. Polacy i Niemcy na siebie napadają, atoli jedni i drudzy boją się otwarcie wypowiedzieć sobie prawdę i przyznać, że to liść figowy koalicyi pomału się odsłania.

„Nie, „„panowie dobrodzieje““, kto chce kwestyę śląską rozstrzygnąć, ten ją znać wpierw powinien; nie trzeba też przy tem zapominać, że na Śląsku obok Polaków, żyje ta sama liczba Czechów, przyczem Czesi reprezentują żywioł inteligentniejszy, który się odepchnąć i ignorować nie pozwoli. Rozwiązanie kwestyi śląskiej nie nastąpi nigdy za panowania nienaturalnej koalicyi Polaków z wrogiem Słowiańszczyzny.

Na Śląsku nie ma kwestyi polskiej, tylko jest kwestya słowiańska, a rozwiązanie tej kwestyi stać się może przy pomocy koalicyi słowiańskiej, a nie owego monstrum: przymierza polsko-niemieckiego.

„Polskie koło niechaj będzie przekonane, że my do rozwiązania kwestyi śląskiej gotowiśmy przyczynić się każdej chwili, że nigdy nie będziemy odrzucać z noblessą arystokratyczną ręki narodu braterskiego, ponieważ jemu równe prawa, jak nam się należą.

„Dokąd posłowie polscy nie nauczą się czuć po słowiańsku, dotąd nie możemy przyznać im zrozumienia potrzeb ludowych, wogóle narodowych. Dopóki polska polityka na wszystko, co nie jest szlachcicem, choćby to były całe narody, patrzeć będzie jako na chłopa, (!?) któremu na swych dworkach daje robotę, tak długo o zbrataniu się czeskiej i polskiej polityki nie może być mowy. Takiem jest stanowisko nasze wobec dzisiejszych reprezentantów narodu polskiego.

„Narodowi polskiemu zawsze naród czeski rękę gotów po bratersku uścisnąć, jak nam dziś ją ściskają ludowe demokratyczne elementy w Galicyi i Poznańskiem. (Sympatyzujemy z narodem czeskim, ale potępiamy stanowczo moskalofilskie tendencye młodoczechów. Przyp. red.)

„Z Kołem polskiem atoli nic nie chcemy mieć wspólnego, szlachta polska tak mało reprezentuje naród polski, jak szlachta czeska Czechów; chociaż chętnie na pochwałę szlachty polskiej dodamy, że przynajmniej ma czucie narodowe, czego nasza szlachta nie posiada.

* * *

Pragski tygodnik „Czas“, organ czeskich realistów, którego redaktorem jest profesor Massaryk, poświęca kwestyi robotniczej w Czechach uwagi następujące:

„Robotnik czeski, który jest socyalistą, aczkolwiek otwarcie wyznaje potrzebę wspólnej akcyi socyalistycznej bez różnicy narodowości bynajmniej nie porzuca idei narodowościowej Robotnik czeski jest czeskim patryotą. We wszystkich miastach czeskich i morawskich są robotnicy patryotyczniej usposobieni, aniżeli ludność wiejska lub mieszczanie. Tego sobie życzy całe społeczeństwo czeskie, aby socyaliści pozostali wiernymi swoim ideałom, tak jest też w rzeczywistości... Walkę o byt i miłość ojczyzny można, ze sobą pogodzić i połączyć... Robotnik czeski równa się pod tym względem robotnikowi francuzkiemu.

„Tylko powierzchowność gazeciarska i zła wola przeciwników reformy społecznej zrobiły robotnika czeskiego bezwyznaniowym na punkcie religii i narodowości....“

* * *

„Dnevni List“, organ serbski, propagujący ideę t. z. wielkoserbską, której zrealizowaniem ma być połączenie Serbów i Chorwatów pod jednym rządem, pisze:

„Skromna literatura serbska została splamioną tak nikczemnie, że podobnego faktu niełatwoby znaleść można gdzieindziej. W zeszłym roku wyszła tu broszurka, której autorem ma być jakiś Serb z Hercegowiny z Mostaru. W broszurce tej pełno jest kłamstw i oszczerstw o Czarnogórzu i o księciu Mikołaju.

„Dla autora tej broszury nie jest Czarnogórze perłą Serbii, lecz „górą hajducką“, „barłogiem żebraczym“, a książę Mikołaj pandurem rosyjskiego cara.

„Autor chce Czarnogórę zohydzić w oczach Serbów i dowodzi, że w Bośni i Hercegowinie żyje się lepiej. Prawi dalej, że Czarnogórcy to nie junacy i bojownicy za swobodę, bo prawdziwa wolność i swoboda znajduje się tylko w Bośni i Hercegowinie. Dalej udowadnia, że Czarnogórców w ogóle nie ma, ale, że tam mieszkają tylko Hercegowińczycy. Granic, ani różnic etnograficznych lub historycznych pomiędzy tymi dwoma krajami nie ma.

„Kilku poważnych Serbów mostarskich ogłasza w pismach, że 5000 dinarów nagrody przeznacza temu, kto udowodni, że autorem jest mieszkaniec mostarski.

„Choć broszura ta ma napis, że wydrukowana w Białogrodzie, nikt temu nie wierzy. Nie ma wątpliwości, że ją drukowano w Austryi, a celem jej ma być wzbudzenie wśród Serbów zaufania ku rządom austryackim.

„Autorem tej broszury nie może być nikt inny, jeno Maszo Vrbica, czarnogórski renegat, którego przeszłość znaną jest naszemu społeczeństwu serbskiemu.“

* * *

Rosyjski „Graždanin“ krytykuje ostro parlament niemiecki i pisze tak:

„Podczas ostatniej sesyi parlamentarnej było posiedzeń 86 a 196 zebrań rozlicznych komisyj parlamentarnych. Przedłożono 24 rządowych projektów, 12 traktatów i około 30 wniosków, które wyszły z łona par-

lamentu. Sposobności do pracy było dużo, ale nie było wiele ochoty do pracy wśród posłów. Najważniejsze przedłożenia, a prawie wszystkie przedłożenia, dotyczące gospodarki finansowej, nie zostały załatwione, ale odłożone do przyszłej sesyi. Posłowie przychodzili na posiedzenia tak niedbale i nieregularnie, że przy głosowaniu objawiał się zwykle brak ustawą przepisanej liczby głosów. W innych parlamentach europejskich nie wiele jest lepiej. Wszędzie powtarzają się skargi, że posłowie swoje obowiązki zaniedbują. W Niemczech w tem upatrują przyczyny zła, że posłowie nie są płatni. Ale nasuwa się tu pytanie, czemu posłowie mandaty przyjmują? W teoryi wygląda to pięknie, zwłaszcza liberalnie, że wszyscy obywatele niemieccy skończywszy ustawą przepisany wiek, mają prawo zasiadania w parlamencie niemieckim i współudziału w obradach nad ustanawianiem praw; protesty i krytyki odezwałyby się natychmiast, gdyby prawo to chciano ścieśnić. W rzeczywistości jednak jest tak, że ten, kto nie ma pieniędzy, ani środków ku temu, aby przez sześć miesięcy zasiadać w parlamencie, posłem być nie może. Tego zaprzeczyć nie można mądrowaniem, ani zasadami liberalnemi. Niemcy wymyślili sobie już osobny wyraz „allgemeine Parlamentsmüdigkeit“ i przebąkują o przeżyciu się prędkiem parlamentaryzmu.“



Polka w ciągu bieżącego stulecia.

(Entuzyastki).

To co w dalszym ciągu o rozwoju i postępie kobiet naszych mówić będę, odnosi się przedewszystkiem do Polek z zaboru rosyjskiego, które mimo najcięższych warunków społecznych, a może właśnie dzięki cięższym warunkom, wywalczyły sobie całkiem odrębne, ważne i przodujące stanowisko.

W dziejach naszych dzielnic pod rządem rosyjskim pozostających powtarzają się peryodycznie fazy gorączkowego życia i apatyi, podniecenia i przygnębienia; rodzaj konwulsyjnych wstrząśnień, których bezpośrednim skutkiem jest wyczerpywanie się społecznego organizmu, utrata zdrowych soków. — Naród gnębiony, prześladowany, w ciasne, żelazne okuty obroże od czasu do czasu zrywa się do ruchu. W następstwie każdej takiej dążności — najgoretsze, najenergiczniejsze, największą wartość moralną przedstawiające jednostki dostają się na Sybir do kopalń Nerczyńskich, gniją w fortecznych więzieniach, giną na szubienicach lub w najlepszym razie wychodzą za granicę. — Pozostają w kraju apatyczne miernoty, gromada filistrów, których obojętność i samolubstwo w smutnych przykładach prześladowanych braci szuka usprawiedliwienia i tym spokojniej zasklepia się w ciasnej skorupie egoistycznych interesów.

Tego rodzaju powtarzające się katastrofy pozbawiłyby ogół wszelkich ożywczych pierwiastków, skazałyby naród na powolną lecz zupełną zagładę, gdyby — nie kobiety,

Dzięki drugorzędnej, pomocniczej tylko roli, którą w czasie otwartych wybuchów spełniają — ich zastęp nie doznaje skutków tego zgubnego dziesiątkowania. W epokach porewolucyjnych letargów wszelka energia, żywotność, zapał, inicyatywa — patryotyzm gorący wyłącznie prawie w sercach kobiet znajduje schronienie; one przechowują tradycyę walk i poświęceń, strzegą narodowego honoru, dzięki uczuciowym właściwościom swej kobiecej natury, myślą i uczuciem wiernie przy nieszczęśliwych męczennikach i ofiarach stoją, niechętne tryumfującym egoistom, walczą przeciw ospałości i niedbalstwu, miernocie zadowolnionej, wyrozumowanemu samolubstwu, one wreszcie przygotowują dla Polski nowe pokolenia pracowników, obrońców i ofiar.

Pierwsza faza takiego narodowego letargu przypadła po rewolucyi 31go roku; w tej też epoce Polska po raz pierwszy zbudziła się do samodzielnego życia, zerwała się do spełniania swych obywatelskich obowiązków. — Była to chwila wielkiej ciszy i martwoty. Wszystkie jednostki dobrą głową i gorącem sercem obdarzone wyemigrowały z kraju i stał się fakt niezwykły i anormalny: punkt ciężkości naszego narodowego życia, ognisko tak bujnego wówczas literackiego ruchu, przeniósł się za granicę, do Paryża przedewszystkiem i rzadko nawet do kraju więziennym, zamkniętego murem, dolelciało echo emigracyjnych pieśni, rozpraw lub sporów.

Kobiety, które z młodych lub choćby z dziecinnych lat pamiętały rewolucyjną burzę, jej walki, nadzieje i porażki, kobiety wykołysane pieśnią naszych wielkich poetów, kobiety, które wraz z pacierzem uczyły się imiona bohaterów powtarzać — z takim stanem rzeczy pogodzić się nie mogły. — Myślą i sercem pojmowały potrzeby narodu i z rozpaczą patrzyły na to, że prócz nich nikt inny ich nieodczuwa. Zrozumiały też, że myśleć i czuć to już nie wystarcza w obecnych warunkach, że czekać na to, aż się inni do dzieła zabiorą — byłoby grzechem lenistwa, że ustępowanie pierwszeństwa, aby sobie tradycyjnie przyznane drugorzędne stanowisko rezerwować — byłoby skromnością zupełnie nie na miejscu, gdyż owego pierwszego nikt zająć nie raczy. — Bierna rola stała się niemożliwą, konieczność zmusiła je przejść do roli czynnej — a przedewszystkiem — właściwie się do niej usposobić.

Tu już program pani Tańskiej stawał się niewystarczającym. — Do wykonywania go zabrakło najważniejszych warunków, a przedewszystkiem owej sławionej przez Hofmanową męzkiej wyższości.

„Niejedna dwudziesto i dwudziestokilkoletnia kobieta, mowi o owej epoce Żmichowska, miała prawo zaręczyć, jako się przed jej okiem ani razu taki nie przesunął mężczyzna, coby nad polepszeniem stanu swoich współbraci czuwał, wykonania sprawiedliwości, dobrego strzegł porządku, dla dobra ogółu lub na utrzymanie swej rodziny pracował. Owszem co krok prawie napotykało się próżniaka, nieuka, dandysa, na którego utrzymanie rodzina pracowała, który bardzo szkodził dobru ogółu, psuł porządek, sam wiele niesprawiedliwości popełnił, a wcale się nie troszczył o stan współbraci i wszelkie tego rodzaju zachcianki niemiłosiernie chłostał dowcipem, jeśli go miał choć trochę w najlichszym gatunku, obelgą, jeśli mu nawet najlichszego brakło dowcipu.

W powszednim tłumie dorosłej młodzieży żaden nie stwierdzał dogmatu pani Tańskiej o mężczyźnie, któremu „Wszechmocny ogół życia powierzył,“ wszyscy oni jednak głęboko w niego wierzyli i równej też wiary od kobiet żądali.“

Większość kobiet zresztą przyjmowala go bez krytyki, znalazła się jednak pewna garstka śmielszych i bystrzejszych umysłów, którym żadne utarte komunały oczów na istotny stan rzeczy nie zamknęły. Widziały ile prac ważnych leży odłogiem, ile jeszcze dróg do pięknych celów prowadzących dla ich ojców, mężów i braci otworem stoi. Gorszyły się więc postępowaniem tych, którzy wiele mogąc, nie robią nic i same choć nieudolne i choć tysiącznemi skrępewane więzami zapragnęły cośkolwiek dla ogólnego dobra uczynić. „Serca ich zasilone pierwszym blaskiem oświaty, żywiej niż kiedykolwiek czuły, że kochają niewygasłą miłością ideał kroczącej ku udoskonaleniu ludzkości, że na wszystkie poświęcenia i trudy byłyby gotowe, byle do trudów i poświęceń sposobność znalazły. Lecz im właśnie tę sposobność odjęto, a niechby się i nastręczyła kiedy, to im odjęto możność korzystania z jej dobrodziejstw.“

Kobiety owej epoki — które w dobie póź-

Dr. PIOTR.

NOWELLA.

przez

Stefana Żeromskiego.

W pokoju pana Dominika Cedryny ciemno i cicho, choć stary jegomość nie śpi. Oparłszy się plecami o poduszki, wpół leżąc na łóżku, zatopiony jest w dziwacznych myślach, do niebywałego ogromu podniesionych przez ciszę nocną. A noc jest cicha śmiertelnie. Światło księżycowe, przestrzeliwszy grubą warstwę szronu, co zabielił szyby niby wapno, stoi na powierzchniach starych gratów, dwu ścian, części sufitu i podłogi, bez ruchu, jakby z zimna skostniało, takie samo zapewne, jakie oświecać musi tej nocy kłody, gnijące na dnie wód, przywalonych lodem. W szparze szerokiego zapiecka odzywa się czasami świerszcz, w kącie pokoju kołacze głucho stary zegar szafkowy, ostatni zabytek świetności minionej. Śpiew świerszcza i tępy szczęk wahadła sprawiają panu Dominikowi niejaką, trudną do określenia, ulgę. Gdyby nie te dwa litościwe szmery, rozszarpałyby mu chyba serce tłok i burza uczuć i odebrała rozum nawałnica ponurych myśli. Gdy z mrocznych kątów izby wychylać się poczną zmory bojaźni, gdy w sercu żarzyć się poczyna żal bezsilny i łzy okrutnego bólu palą powieki — świerszcz szepce głośniej, zupełnie jak gdyby wyraźnemi słowami, sylaba za sylabą mówił: „wzywaj go w dzień utrapienia, a wyrwie cię i czcić go będziesz.“ To dziwne zdanie, ta rada, czy modlitwa utajona w szmerze robaczka nocy jest jedynym i ostatnim punktem podparcia dla wytrąconych ze zwyczajnej kolei myśli samotnika.

Kilkakrotnie zapalał świecę, sądząc, że go światło uspokoi, daremnie. Skoro zatlił zapałkę, rzucał mu się w oczy list syna i przypominał, jakie i gdzie ta męka ma źródło. Teraz ogarnęła go chęć zajrzenia raz jeszcze nieszczęściu w samce ślepia, dźwignęła z niemocy ducha biedna odwaga smutnych aż do śmierci: zapuścić sondę w głąb rany, do cna ją wymacać, przekonać się naocznie i nieomylnie, że jest niewyleczalną, no — i niech tam jasne pioruny spalą:

Nałożył okulary, odsunął list za płomień i powoli, półgłosem czytać zaczął.

„Mój drogi Ojcze! Ze wszystkich moich złotych marzeń dyabeł sobie fidibus ukręcił i zapalił nim cygaro. Chełpiłem się niegdyś z moich zdolności do matematyki, oczy mi na wierzch wyłaziły z pychy, gdy koleżkowie kpinkowali, że ja już w łonie matki, w randze sześciomiesięcznego embryona, oczekując chwili wydostania się na ten padół rachunku różniczkowego, rozwiązywałem z nudow algiebraiczne zadanie o gońcach. Teraz przeklinam i te niby zdolności i te głupie rachunki. Gdybym był pasał krowy na wygonie, albo i same wieprzki... Ale co to pomoże w bawełnę obwijać! Awantura ma taki deseń. Mniej więcej przed trzema tygodniami, już po wysłaniu do tatki ostatniego listu, prosi mnie do siebie profesor i daje do czytania list niejakiego Jonatana Mandsleya chemika, byłego profesora w jednym z uniwersytetów angielskich. Ten pan, porzuciwszy katedrę, urządził sobie laboratoryum prywatne i prosi naszego starego o wskazanie mu najzdolniejszego z pomiędzy asystentów naszej politechniki, chce bowiem takiemu facetowi powierzyć kierownictwo owej budy. Obiecuje płacić 200 franków miesięcznie, dać mieszkanie, wszelkie materyały, jakich chemiczna dusza zapragnie, opał i inne przyjemności — no i prawie zupełną swobodę w pracy. Gdym list przesylabizował, profesor odebrał go z rąk moich, złożył starannie, schował do szuflady, skrzywił się swoim zwyczajem i podawszy mi flegmatycznie kończynę, usiadł przy biórku i wetknął nos w papiery. Patrzałem z podziwieniem na jego łysy czerep, gdy ten stary niedojda mruknął:

— Tam już napisałem... Należy wziąć ciepłe spodnie i wełniane skarpetki. Wiadoma rzecz... mgły... Miasto Hull nad morzem. Jeżeli brak panu pieniędzy, mogę pożyczyć trzysta

niejszej entuzyastkami nazwano, nie stworzyły żadnego pisanego w całość pewną ujętego programu, któryby w literaturze miejsce „Pamiątki po dobrej matce“ zajął — nie pozostawiły też żadnego jasno sformułowanego wyznania wiary.

Jedna z nich tylko wybitnym talentem obdarzona, Narcyza Żmichowska, poglądy swoje w szeregu pięknych literackich utworów potomności przekazała; i ona jednak do autorstwa swego niezbyt wielką przywiązywała wagę i na równi z innemi Entuzyastkami czyn pożyteczny ponad najpiękniejsze słowa ceniła.

To też kobiety owe nie słowem, lecz czynem dążenia swe wyrażały i wbrew ogólnemu zwyczajowi zamiast głosić i propagować swoje zasady, we własne wcielały je życie. Nie stanowiły one żadnego związku, ani stowarzyszenia, nie ujęły swej działalności w formę żadnych statutów, ani przepisów, tworzyły raczej pewne kółka towarzyskie złączone miłością dla wspólnych ideałów, gorliwością w pracy dla ogólnego dobra, wspólnością uczuć, dążeń, poglądów i zwyczajów. — Pragnęły one dla kobiety więcej niezależności, wyższej nauki i pola do użytecznej pracy, — do tej pracy właśnie, która zaniedbana przez właściwych pracowników odłogiem leżała.

Odznaczała je przedewszystkiem wielka miłość prawdy nie ograniczająca się na tem, aby nigdy słowem nie kłamać, ale dążąca do tego, aby zawsze czyny słowom, a słowa myślom wiernem były świadectwem. Nieuniknionym tego uczucia wynikiem był wstręt do obłudy, hipokryzyi, fałszu w jakiejkolwiek przedstawiał się formie, czy był blichtrem na efekt obliczonym, czy czczą frazeologią, czy też towarzyskim konwenansem. — Przeciw towarzyskim konwenansom grzeszyły na każdym kroku, grzeszyły umyślnie przez pogardę dla błahej formy, która żadnej treści nie ukrywa, przez chęć rozerwania tych więzów, które najskuteczniej niezależność kobiety krępują, wreszcie może przez wstręt dla wszystkiego co trąci niecnotą, szablonem i liberyą. Te właśnie uchybienia przeciw paragrafom światowego kodeksu najwięcej im w oczach ogółu współczesnego zaszkodziły, gdyż, jak mówi Żmichowska „lepiej jest mieć przeciw sobie wyrok trybunału w sprawie kryminalnej, niż wyrok dobrego tonu w sprawie życia i prawdy.“

Postępowanie entuzyastek było dla współczesnych rażącą nowością, a ludzie każdą nowość przyjmują hałasem. Nie szczędzono im też ani szyderstw, ani złośliwych zaczepek, ani plotek i potwarzy. Czasopisma ówczesne przepełnione są niemi — nie znajdzie się w nich jednak żadnej z przeciwnej strony odpowiedzi lub polemiki. Entuzyastki przekonywaniem przeciwników nie zajmowały się wcale; ufając w świętość celu, do którego dążyły, ożywione gorącą dla wszelkiego dobra miłością, nie oglądały się na prawo i lewo, lecz śmiało i odważnie kroczyły raz wytkniętą drogą. Jeśli była jaka propaganda, to ograniczała się wyłącznie na skupianiu w jedno ognisko wszystkich szlachetnych usiłowań, na zgarnianiu w jedno serdecznemi węzły połączone kółko wszystkich żywo miłością kraju przejętych jednostek i wspieraniu się wzajemnem radą, nauką, szczerem życzeniem i pomocną ręką. — Po roku 1842 grono entuzyastek grupowało się około redakcyi „Przeglądu naukowego“, a dom Skimborowicza jednego z redaktorów, stał się zwykłym punktem zbornym. Prócz nazwisk kobiecych: Narcyzy Żmichowskiej, Anny Skimborowiczowej, Wincenty Zabłockiej, Kazimiery Ziemięckiej, Zofii Węgierskiej, Emilii Gosselin, Faustyny Morzyckiej i wielu innych, spotykamy już w tem kółku imiona mężczyzn, węzłami przyjaźni i wspólnością dążeń z Entuzyastkami złączonych. Prócz obu redaktorów „Przeglądu“ — Hipolita Skimborowicza i Edwarda Dembowskiego, należeli tu: Jan Majorkiewicz, Dominik Szulc, Tyszyński, Lenartowicz, Karol Baliński. Władysław Wężyk, Feliks Jezierski. — Była to dla entuzyastek krótkotrwała niestety, ale pomyślna epoka cichej pracy i wielkich nadziei, śmiałych pragnień i wiary w ich urzeczywistnienie. Cóż ich to miało obchodzić, że nieznajomi lub obojętni krytykowali ich postępowanie, jeśli tylko każda z nich w bliskiem, życzliwem kółku poparcie i zachętę znajdowała. Że panią Ziemięcką podejrzywano wprost o obłęd umysłowy, gdyż założyła szkółkę, z dzieciakami sylabizuje i chorym babom lekarstwa roznosi — to jej towarzyszkom nie przeszkadzało nadal tego rodzaju pracy się poświęcać, — tak jak szyderstwa i przycinki nie wstrzymały żadnej z nich od zajmowania się nauką, lub pisywania książeczek dla ludu i rzemieślników. — Nawet ośmieszenie ich stroju nie do mody, lecz do prawideł oszczędności zastosowanego, zwyczaju obcinania włosów, lub palenia cygar, które to zwyczaje niezmiernie oczy ludzkie raziły — nie wiele dotykać je mogły.

Nie były to zresztą żadne ogólnie przyjęte przez nie lub zaprzysiężone formy, lecz po prostu dziecinne zabawki tej lub owej, która nietylko postępowaniem swem, lecz i pozorami chciała się od ogółu różnić. — Zresztą prócz tych pozorów i wielu poglądów i położenia towarzyskie różniły je między sobą. Były między niemi i panie z wielkiego świata, i ascetki, i nabożne katoliczki, i protestantki, lub niewierzące, — i biedne nauczycielki i obywatelki zamożne, wszystkie jednak były gorącemi patryotkami, kochały lud polski i pragnęły jego dobra, wszystkie dążyły do nabycia wyższej wiedzy i wierzyły w postęp i udoskonalenie ludzkości.

Równocześnie i dawniej nawet na Zachodzie kwestya emancypacyi kobiet poruszała umysły. W ojczyźnie pani Sand, przedewszystkiem pod wpływem St. Simonizmu wytwarzał się nowy typ kobiecy naszemu ogółowi niesympatyczny. — Niechętni entuzyastkom, obawiający się przeniesienia na grunt miejscowy zagranicznych teoryj widzieli w ich dążnościach echo prądów zachodu i najniesłuszniej miano emancypantek im nadali. Najniesłuszniej mówię, gdyż kierunek przez nasze entuzyastki zainaugurowany był wynikiem czysto miejscowych przyczyn i stał w ścisłym związku z dziejami narodu. Różnicę między francuzkiemi emancypantkami, o których mowa, Żmichowska jasno i dobitnie charakteryzuje:

„Tam pan swoją niewolnicę wyzwolił, tam mężczyzna dążności kobiety określił. Od mężczyzn najpierwej dowiadywały się Francuzki o prawach kobiety, jak u nas niegdyś od mężczyzn dowiedziała się p. Tańska o kobiety obowiązkach. Francuzcy reformatorowie w szlachetnem uniesieniu ogłosili rodaczkom dogmat wolności i równouprawnienia. Wolności naturalnie takiej, jaką pojmowali, jaka im samym najmilszą się zdawała, równouprawnienia naturalnie kodeksowego we wszystkich paragrafach, jakie niegdyś z własnych przywilejów na wyłączną swoją korzyść, a na krzywdę kobiet spisali; słowem, kobiecie pozwolili być człowiekiem. — Nasze kobiety, gdyby też i wiedzione wkorzenionym od wieków nałogiem chciały się za wsparciem męzkiej prawicy oglądać, to wiemy, że męzkie prawice bardzo w owych czasach podrętwiały i żadna z nich ku pomocy wyciągnąć się nie mogła. Gdzie ukształconych brakowało, tam prosto logicznem następstwem i przekształcających nie mogło być. Kobiety w Polsce same z siebie czerpać musiały, lecz też zaczerpnęły odpowiedniejszych własnej naturze potrzeb, skarg i nadziei. Kiedy genialne francuzkie wyzwolennice dopominały się o równość w szczęściu, w swobodzie, w użyciu, one z trudem nabywające wołały tylko o równość w wiedzy i możności poświęcenia. Wkrótce jednak obdarowanym z łaski różnych systematów więcej wzięto, niż dano kiedykolwiek; dziś tłumy ich zdolne, bystre, wykształcone stanęły na rozstajnych drogach między zrzeczeniem się wszelkiej umysłowej samoistności, a gorszem od swawoli nadużyciem; przed naszemi kobietami zakreślił

---

franków bez procentu na trzy miesiące. Tak... tylko na trzy miesiące.

Zrobiło mi się haniebnie głupio. Azaliż ja, myślałem, wziąwszy na się postać najzdolniejszego między chemiki, pojadę w wełnianych skarpetkach nad morze, aż do miasta Hull. Czemu nie kogo innego spotyka takie zaszczytne wyróżnienie, taki los szczęśliwy. Bo to los! W pracowni Mundsley'a bez troski o jutrzejszy obiad i dzisiejsze przyszczypki u butów, można pracować nie tylko nad zdobyciem nowych wiadomości, ale i zaspakajać wydłubane ze swego własnego mózgu hypotezy.

Ta chemia ma swoje psie figle... Skoro człowiek raz w to błoto wlezie, jeżeli jeszcze powącha spraw niezbadanych, a wiecznie nęcących, porywa go taka przecież szewska pasya odnajdywania nowych „prądzeń,“ że gotów i o wełnianych skarpetkach mniej dokładnie pamiętać. A zresztą mój tatku, zobaczyć Anglię, jej prawdziwie wielki przemysł, te cuda cywilizacyi, te kolosalne skoki ludzkiego gieniuszu. Zabrałem się i poszedłem. Posiedziałem na Stapferwegu, a stamtąd, gnany niepokojem, ruszyłem na miasto. Zamiast wszakże zwołać publikę do Kropfa, gdzie tradycya surowo nakazuje oblewać wyjątkowe zdarzenia, puściłem się nad jezioro. Nie pamiętam, kiedy znalazłem się na drodze, prowadzącej do Westmünster. Ciemna mgła zatapiała się we wzburzonych falach jeziora, rude, obdarte poszczerbione zbocza i upłazy gór wynurzały się z niej kiedy niekiedy, niby fantastyczne wyspy; żałośnie krakały mewy, szybujące nad samą wodą.

A więc jadę, myślałem, do ziemi angielczyków ziemnowodnych, jadę nad morze, nad dalekie i nieznane morze... Nadaremnie tak długo łudziłem się nadzieją, że pojadę w inne strony, że po ośmiu latach inny zobaczę krajobraz. Nadaremnie w ciągu ostatnich trzech lat wysłałem tyle strzelisto-rekomendowanych afektów do Łodzi, Zgierza i tym podobnych Pabianic, upraszając o posadę 40-stu, 30-stu, niech tam zresztą wszyscy djabli — 25 rubli miesięcznie. Napróżno wynosiłem pod niebiosa moje talenty chemiczne, cytowałem moje patenty, obiecywałem wynaleźć nowe środki drukowania perkalów. Skompromitowałem się tylko w oczach własnych i świętej nauki. Tam żydkowie i niemczykowie wszystko już wynaleźli, zatkali wszystkie miejsca i popychają wielki przemysł. Rozwiały się marzenia o tem, że cię, mój staruszku, m i t p o m p e u n d p a r a d e zabiorę do siebie, że posprawiamy sobie nowe przyodziewki, (samych butów kozłowych z cholewami po dwie pary na chłopa), że nazonosimy tytoniu, cukru, herbaty, kiełbas, licho wie zresztą czego, że się będziemy wieczorami, jak ostatnie szewcy, zgrywać w domino i świętej pamięci Kozików wspominać... Eh, Kozików, Kozików!... Czy też ojciec pamięta ten wydmuch piaszczysty za naszym ogrodem, obrośnięty krzywemi sosnami i nizką, szorstką trawą? Sam nie wiem, czemu tak lubię myśleć o tej dziurze. Pamiętam raz... Po długich i tęgich mrozach po ciężkiej zimie nastał pierwszy dzień ciepły, prawie upalny. Był to jeden z pierwszych dni marca. Około południa obnażył się niespodzianie ze śniegu szczyt owego wzgórza, wylazł ze skorupy i zaczerniał nad białym widnokręgiem, jak garb potworny. Stałem wtedy w oknie i wydawałem lekcyę korepetytorowi, pamięta go tatko? kudłatemu Kawicy. Coś mię kolnęło. Nie wiem, jakim sposobem wykręciłem się z lekcyi, wypadłem na dwór, zwołałem psy folwarczne i „co koń skoczy“ przez zagony, przez pastwisko, bez czapki.,. Do dziś dnia mam w sercu tę chwilę, te uczucia, jakby to było wczoraj. Po igłach, gałęziach, po korze odziemków sosnowych spływały ogromne brudne krople, ciężko kapały na zaspy i dziurawiły je nawskroś; każdy skostniały badyl, każdy pniak, kamień, każde drzewo, każdy przedmiot czarny wciągał w siebie, połykał wszystkiemi porami promienie słońca i stawał się w mgnieniu oka ogniskiem ciepła. Dokoła drzew, krzaków, suchych łodyg chwastu, dokoła kamieni i kołków drążyły się w oczach ogromne jamy i ukazywał w nich jasny, wiotki piasek. Każde jego ziarenko, nasycone ciepłem, zdawało się żarzyć i płonąć, szerzyło na zmarzniętych towarzyszów radosny ogień. Ziarnka piasku parzyły śnieg ze spodu, drzewa i krzaki chlustały nań ciepłemi kroplami;

się wtedy i rozciągnął po dni dzisiejsze jeden prosty choć ciężki do przebycia gościniec własnej pracy i zasługi.“

Dzisiejsze pokolenie kobiet winno być wdzięczne entuzyastkom za utorowanie im tego właśnie gościńca, winno je wielbić za piękną tradycyę, przekazaną swoim następczyniom, gdyż dzięki im, Polki szczycić się mogą, iż w przeciwieństwie do kobiet innych narodów, nie o prawa lecz o obowiązki swoje walczyły.

Nie odniosły wprawdzie głośnego zwycięstwa, nie doczekały się uznania swych zasług, nie miały nawet tej satysfakcyi, aby im czarnym drukiem na białej bibule rangę przyznano — uczyniły jednak dla sprawy postępu kobiet niezmiernie wiele, gdyż oswoiły ogół z typem kobiety samodzielnej, a wysoko wykształconej, przyzwyczaiły większość do cenienia w niej obywatelki kraju, do uznania w kobiecie człowieka. Nawet ta ich dziecinna pozornie walka przeciw konwenansom, walka o pozory, o drobnostki — choć im zaszkodziła niemało, nam jedynie tylko pożytek przyniosła. Przez szacunek, jaki zjednały sobie mimo owych pozorów — nauczyły ogół skuteczniej, niżby to pisanemi uczyniły argumentami, że i w kobiecie także wyżej treść niż formę, charakter więcej niż salonowe ułożenie cenić należy. W murze konwensansów, który tak ciasnym kręgiem zamykał życie kobiety, zrobiły pierwszy wyłom, a wszystkie późniejsze na tem polu zdobycze, im właśnie zawdzięczamy. One to sprawiły, że dziś bez zgorszenia możemy same koleją jeździć, po ulicach chodzić, w zebraniach głos zabierać i rozmawiać o czem zechcemy, o nierozumnych plotkach, czy o rozumnych książkach.

Zdobycz drobna na pozór, lecz kto wie jakim powijakiem moralnym są dla kobiet owe przepisy kodeksu światowego, jaką kulą u nogi nieszczęsne „wypada“ i „nie wypada“, jakim balastem ciężkim przy każdej pożytecznej pracy, jaką zaporą żelazną między zasadami, a czynem, między szlachetną chęcią, a jej wykonaniem, między szczerem uczuciem, a jego objawem: ten hołd uznania złoży entuzyastkom za to, że wyzwoliły kobietę z jej odwiecznego niedołęstwa i natchnęły ją niezbędnem do każdej czynnej zasługi uczuciem: odwagą cywilną.

Po szczęśliwej epoce zbliżały się dla naszej sympatycznej drużyny chwile ciężkich prób i cierpień, chwile stanowcze w których na ołtarzu idei bolesne ofiary składać im przyszło. Zwolna sposobiła się Europa do rewolucyjnej zawieruchy 48, a choć w królestwie kongresowem do wybuchu nie przyszło, robiono jednak wszelkie do niego przygotowania. Naprzód odkryto spisek przez emisaryuszów zagranicznych zawiązany. Pawilony cytadeli więźniami się zapełniły, a ku zdziwieniu swemu entuzyastki, zresztą w tę sprawę niewtajemniczone dotychczas, między aresztowanymi samych prawie znajomych i przyjaciół spotkały nazwiska. Przybyło im nowe do spełnienia zadanie, należało nad nieszczęśliwymi opiekę rozciągnąć i los ich, jeśli można, znośniejszym uczynić. Równocześnie przygotowania do rewolucyi trwały w dalszym ciągu, a choć na razie znaczna część entuzyastek nieufnie się wobec planów demokracyi zachowywała nie wierząc w ich urzeczywistnienie, dziwić się im nie można, że gdy cała Europa jednogłośnie o wolność zawołała, gdy wszystkie ludy szał wielki ogarnął i one rozmarzyły się myślą wyzwolenia ojczyzny, a w miarę możności i sił swoich dążenia patryotów wspierały. Wraz z narodem przeżyły i przebolały wszelkie gorzkie rozczarowania, rozwiane nadzieje. Niejedna prócz cierpień ogólnych, własne opłakać musiała straty, a gdy nad zawiedzionym krajem na nowo ciężka ręka despotyzmu Mikołajowskiego zawisła, prześladowanie dotknęło je osobiście i najgorętsze, najczynniejsze z entuzyastek kilkoletniem więzieniem patryotyczną swą działalność okupiły. Wincenta Zabłocka, Kazimiera Ziemięcka, Anna Skimborowiczowa aresztowane w Warszawie, Narcyza Żmichowska półtora roku w Lublinie więzioną była.

To cierpienie za świętą sprawę, to prześladowanie dla ukochanej Ojczyzny zniesione stanowi chrzest obywatelski polskiej kobiety, od tej pory nikt jej do żadnej pracy społecznej, do żadnych poświęceń prawa odmówić nie może.

I znowu jak zwykle po chwilach gorączkowych nastąpiła doba narodowego uśpienia: reakcya przeciw postępowym dążeniom, ciemnota przeciw światłu, grzech przeciw społecznej pracy tryumf chwilowy odniosły. Gorzej niż więzienie i straty bolesne dokuczyły entuzyastkom obojętność ogółu dla spraw najświętszych, upadek moralny i umysłowy kraju, odstępstwo całych tłumów od narodowego sztandaru. Więcej niż kiedykolwiek osamotnione i obce się czuły, gdyż i dawni ich przyjaciele albo męczeńską śmiercią zginęli, albo przymusowo na Wschód lub dobrowolnie na Zachód emigrowali — a byli i tacy co lękając się o własne bezpieczeństwo unikali osób, których znajomość kompromitować ich mogła. Dopiero w późniejszych, wiele późniejszych latach, gdy nowe pokolenie entuzyastów i entuzyastek dorosło, znalazły się znowu w otoczeniu serc życzliwych i bratnich umysłów, zjednały sobie gorące uznanie i cześć dobrze myślącej młodzieży. Z pociechą przekonać się mogły, że idee, którym służyły, w każdej nowej generacyi nowych znajdują czcicieli — a z boleścią patrzyły, gdy i te nowe pokolenia krwawe ofiary składały na ołtarzu ojczyzny. Gorące serca tych kobiet przebolały wraz z krajem wszystkie cierpienia pogrobowe, wszystkie kurcze bolesne żywcem pogrzebanego narodu, który daremnym wysiłkiem wieko trumny odwalić próbuje. — Rok 31 zapisał się krwawemi głoskami w ich wyobraźni dziecinnej, 48my przyniósł im szalone marzenia, złudne nadzieje i pierwsze rozczarowanie młodości, 63ci okrył ich starość żałobą. Przez walki, znoje, cierpienia, rozczarowania, gorycze, przez męczeństwo całego życia i przez odważne, prześladowaniem okupione wyznanie tej wiary, która jedynem jest Polski zbawieniem postacie entuzyastek dla nas Polek przedmiotem czci głębokiej, świętością na zawsze pozostać powinny.

I. Moszczeńska.

EDWARD ROD.

(Dokończenie.)

Teissier jest człowiekiem politycznym, stoi na czele stronnictwa, które doszedłszy do władzy, podniosło go na stanowisko ministra. Teissier winien swoje wielkie znaczenie, tyle przynajmniej zdolności i pracy, co szacunkowi, jaki wzbudza całem swem postępowaniem. Nie oddziela on zasad od czynów, a życie jego jest jak kryształ przejrzyste. W sile mezkiego wieku — Teissier dochodzi do lat czterdziestu — ożeniony od lat dwunastu z piękną i zacną kobietą, ojciec dwojga dzieci, stanowił wzór cnót rodzinnych. Żona jego była dzielną i ukochaną towarzyszką zarówno w dniach ubóstwa i walki, jak dzisiaj, gdy stanęli na szczytach społecznych.

Teissier należy do stronnictwa klerykalnego i całą siłą swej wymowy, przemawia przeciw prawu rozwodowemu, które przejmuje część Francyi tak wielkiem oburzeniem.

Łatwo mu to przychodzi, woła głos ogólny. Szczęśliwy mąż, nigdy się do tego prawa odwoływać nie potrzebuje. Rzeczywiście, Teissier swą gwałtowną przemową, zobowiązał się moralnie nigdy nie skorzystać z prawa, które pomimo to zagłosowane zostało. Tymczasem pomiędzy ściśle związane stadło, wślizga się przeniewierstwo, a raczej nowa miłość. Michał Teisser rozkochał się, sam nie wiedząc kiedy, w młodej dziewczynie, córce zmarłego przyjaciela, która nieszczęśliwa w domu, znalazła drugą matkę w jego żonie Zuzannie i większą część czasu przepędza u niej.

Bianka nie jest wcale zalotnicą, nie jest też bezświadomem dzieckiem, autor chce z niej uczynić wzór cnoty. Zachodzi jednak pytanie,

---

przykopy i zagony zdawały się dźwigać zdławione grzbiety. Z dalekich pól szedł gęsty opar, niby dym ciepły, magał się i przewalał nad równinami, a trząsł i połyskiwał nad wzgórzem.

Stado wróbli wygrzewało się na gałęziach suchej wierzby i ćwierkało, jak na trwogę. Rozpuszczone, jak u indyków, ich skrzydła strzepywały z gałązek lód i osędzieliznę, dzioby kuły niecierpliwie w próchno, obwieszone soplami. Zdawało mi się wtedy, że całe to stadko śpiewa jedną pieśń dziwną i nigdy niesłyszaną, przejmującą do szpiku kości. I popłynęły nareszcie pierwsze wody wiosenne, bujne, nagłe, gwałtowne, jak łzy niespodziewanego szczęścia. Sączyły się bruzdami, żłobiły sobie głębokie łożyska w posiniałych kolejach, wyrżniętych przez sanice, lały się po wierzchu śniegowej skorupy, zcicha, radośnie szemrząc. W naszym strumieniu woda wezbrała, powstały wiry huczące, odsłaniały się brzegi i spływała po nich jak ropa, żółta, rzadka, rozmoczona glina. Pnie brzóz nadwodnych zanurzyły się w rzekę i ssały korzeniami tę wodę żywą...

Wpadłem w szał: spuszczałem strumyki, ułatwiałem spadek wodospadom, kopałem kanały, stawiałem tamy... Cieszyłem się z głębi serca, że skostniałym badylom ciepło, że już żaden wróbel nie zmarznie i wyciągałem po raz pierwszy w życiu dziecięce ramiona do tej wielkiej niewiadomej...

Czy też to miejsce jest tam jeszcze? Pytanie godne głowy i pióra doktora Piotra Cedryny — nieprawdaż? Ach, tak!... Człowiek, któremu odejmą strzaskaną rękę, czuje ciągły ból w próżni, równającej się długości ręki. Często budzę się po twardym śnie z tym nieujętym bólem w próżni. Oto przyjdzie nowa wiosna... Zobaczę ją we mgłach, przydymionych sadzą fabryczną. — a zarówno tam, jak tutaj będę niósł w sobie kły upiora, głęboko zapuszczone w duszę... I tak zawsze bez końca...

Zapomniałem, o czem właściwie chciałem ci napisać, mój stary, mój drogi stary... jestem sam na świecie i ciel ie mam tylko, jak drugą połowę siebie, jak oddartą i niezmiernie daleko uwięzioną połowę duszy. Nie gniewaj się, że piszę rzeczy nieciekawe — piszę jakby do siebie... Gdym wtedy stał na brzegu jeziora było mi strasznie podle. Wielkie, przezroczyste, jasnozielone fale biegły z jakiegoś nieznanego miejsca, schowanego we mgle, trzepały się u brzegu, pękały, rozpłatane przez ostre kamienie, a każda, ześlizgując się w głębinę, zdało się wzdychała: jesteś jak mrówka wychowana w lesie, gdy ją na środek stawu wiatr zaniesie...

Pan Dominik odrzuca list ze złości i, podparłszy brodę pięściami, siedzi nasrożony jak kania. Nie męczą go już teraz fantastyczne, bezprzedmiotowe rojenia, ale za to skupiają się i kojarzą logiczne, nie mniej bolesne myśli. Czemu taki koniec wzięło życie, gdzie przyczyna tych wszystkich wypadków? Dla czego jedyny syn, nie słucha ani próśb, ani zaklęć, ani przedstawień, ani rozkazów i, zamiast się usprawiedliwiać, pisze rzeczy sentymentalne i niezrozumiałe? Dla czego nie powraca? Gdyby się tylko zjawił, — przy protekcyi, podreptawszy nieco, znalazłoby się dla niego doskonałe miejsce, posażną pannę... Dla czego? — To rzecz jasna. Człowiek nie może żyć i pracować. — odpowiada sobie pan Cedryna, — jeśli ktoś nie żył przed nim i nie pracował dla niego. Ten ktoś — któż to jest? — Ojciec. Przez urodzenie ojciec nie daje jeszcze synowi życia, daje sylko obietnicę życia, wychowanie poczyna je, a dziedzictwo dopiero zapewnia i uzupełnia. Tu jest źródło konieczności dziedziczenia w rodzie ludzkim. Ono jest węzłem, co spaja pokolenia umierające z rodzącemi się, wypływa z tego, co jest niezbędne we względzie potrzeb ciała, tworzy i uwiecznia rodzinę. Rodzina bez dziedzictwa jest stosunkiem niedorzecznym, bolesnym, jest męczarnią, narzuconą człowiekowi przez Opatrzność... Taką klątwę my na sobie dźwigamy z Piotrusiem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

czy w podobnych warunkach, miłość dwojga uczciwych ludzi może się rozwinąć i dojść do wyznania. Rod sam pod tym względem musi mieć pewne wątpliwości, skoro zaraz w pierwszym rozdziale obznajmia nas już z faktem istniejącym, a nie przedstawia tak rodzącej się namiętności. Miłość ta wprawdzie stoi na gruncie platonicznym, nie mniej jednak jest w sprzeczności z najlepszemi zasadami, a rozumowaniem winowajców, iż dopóki Zuzanna nie wie o niczem, wolno im się kochać bez grzechu, nie znosi wcale krytyki.

Spotykamy się nieustannie z różnorodnemi zdaniami o miłości. Jedni bez ceremonii wykreślają z życia ten czynnik, który według nich, tuła się tylko w sercach sentymentalnych pensyonarek, lub w mózgach rozbitków romantyzmu. Inni znów nadają mu znaczenie siły niepohamowanej, której wszystko ulegać musi. Tak jedno jak drugie zdanie nie zgadza się z dzisiejszemi pojęciami. Jeśli są istoty przechodzące przez życie, bez poznania najpiękniejszych uczuć, nie idzie za tem, by one nie istniały. Miłość jednak hamowana, jak wszystkie impulsy, przez wiekową cywilizacyę, straciła wiele z pierwotnej gwałtowności. Nie jest już ową iskrą, padającą na prochy, wkrada się zwykle zwolna do serc ludzkich, może też być stłumioną w zarodku, jeśli na drodze stanie jej wola. Bywają wprawdzie przemożne okoliczności, które zmuszają ludzi, wbrew tej woli, przestawać z sobą ciągle, a tem samem pozwalają się rozwinąć wzajemnym uczuciom, ale takie przemożne okoliczności nie ciążą na Michale i Biance. Widują się oni z własnej woli, szukają niemal codziennie, a Bianka nadużywa haniebnie zaufania i gościnności Zuzanny.

Pomimo więc wszystkich zapewnień, od chwili gdy zakochani zdali sobie sprawę ze swoich uczuć, oboje przestali być uczciwymi i dziwić się trzeba, że autor nie dostrzega rzeczy tak prostej. Miłość długo utaić się nie może. Przypadek sprawił, iż Zuzanna ją odkryła, wówczas gra idzie już w otwarte karty. Michał Bianki wyrzec się nie chce i czyni żonie tak dziwaczne propozycye, iż dowodzą one nie już braku uczciwości, ale rozumu; chce, by rzeczy zostały tak, jak są, oburza się, że dwuznacznego położenia znosić nie chce, ani może. Zuzanna, z całą uczciwością nieskazitelnej kobiety, stawia kwestyę na ostrzu noża, niech Michał wybiera pomiędzy nią a Bianką, ona dla jego szczęścia zgodzi się na wszystko, przebaczy i zapomni, albo też rozwodowi przeszkadzać nie będzie.

Do tej ostateczności przyjść musi. Autor, występując przeciw rozwodowi, wykazuje przecież, iż są położenia, które on jeden rozwiązać może, wątpić bowiem należy, by przemawiał na korzyść wielożeństwa, jakkolwiek uprościłoby ono sytuacyę. To jedynie możliwe rozwiązanie utrudnił sobie sam Teissier swą sławną przemową. Tym sposobem jego stanowisko polityczne zależnem jest od postępowania. Jeśli zaprzeczy sam sobie i zbije faktem własnego rozwodu wszystko, co na jego potępienie powiedział, da straszliwą broń w rękę swoim przeciwnikom. Rozumie on dobrze, iż nie przystoi mu dalej reprezentować zasad, którym sam kłam zadaje.

A jednak on się nie cofnie. Pomiędzy żoną, a kochanką, wybór nigdy wątpliwym być nie może. Po próżnych usiłowaniach Bianki, wejścia w inne związki małżeńskie, a Teissier'a powrotu do dawnych stosunków z żoną, jedno i drugie okazuje się niemożliwem. Teissier zrywa węzły rodzinne, porzuca karyerę polityczną i ojczyznę, ażeby połączyć się z Bianką związkiem, który oboje uważają za nieprawy.

Autor kończy powieść pytaniem, czy ta para szczęśliwą być może? Odpowiedź nie jest wątpliwą, ludzie postępując wbrew przekonaniom nigdy szczęśliwi nie będą. Namiętność, której wszystko poświęcili, może im dać chwile upojeń i zapomnienia, ale nigdy tego trwałego szczęścia, którego podwaliną jest spokój wewnętrzny. I bez powieści o dalszych losach Michała Teissier każdy się na to zgodzi.

Rod postawił sobie jednak drugie zadanie, wykazać szkodliwość rozwodu. To powiodło mu się mniej dobrze. Przeciwnie, skoro według niego miłość nielegalna, może powstać pomiędzy najuczciwszymi ludźmi, skoro — zawsze według niego — nie broni przeciw tej piorunującej potędze, najbardziej dobrane małżeństwo, potrzeba się z nią rachować i znaleźć możliwe wyjście z naprężonego położenia. Rozwód może być nieszczęściem, ale właśnie to, że ucieka się do niego człowiek, który go potępia, który tym krokiem łamie całą swą przyszłość, najlepiej świadczy o jego konieczności.

Przez życie tych trojga bohaterów, przeszła katastrofa, nieszczęście, jak je wszyscy jednozgodnie nazywają, przeciwko temu nikt protestować nie może, katastrofa tem boleśniejsza, im były to natury wyższe, szczersze, bardziej uczciwe. Ale przynajmniej za sprawą rozwodu Michał i Bianka odnaleźli możność istnienia, a najsrożej dotknięta zdradą męża, Zuzanna, godność i spokój, którychby już nigdy przy jego boku zaznać nie mogła, bo nie ma straszliwszego położenia nad nieufność względem osoby ukochanej, nad ciągłą bojaźń jej utraty. Zbudzona raz podejrzliwość, nigdy już uśpioną być nie może.

Dziwny ten fakt, iż powieść czyni wrażenie wprost sprzeczne z tem, jakie wywołać miała, zdarza się nieraz, niemniej świadczy zawsze o brakach w talencie autora, albo też o tem, że podjął tezę bez przekonania.

Pewna część społeczeństwa francuskiego odrzuca z oburzeniem rozwód jako niemoralny, antireligijny, jakkolwiek chodzi tu o prawo cywilne. Ślad tego oburzenia przejawia się bardzo wyraźnie w powieściopisarstwie, że wspomnę tylko o jednym ze świeżych utworów Gyp'a „Tante Joujou", którego bohaterka decyduje się raczej zostać kochanką niż żoną rozwiedzionego człowieka, bo znajduje to czynem daleko mniej nagannym. Rod więc popiera w swej powieści takie samo przekonanie. Zdaje się nawet potępiać Zuzannę, która nie umiała w danym razie okazać się żoną pobłażającą i tym sposobem doprowadziła do skandalu, łatwego do uniknienia, gdyby tylko chciała zamykać oczy na miłość męża.

Znać z tego, jak dalekiem jest stanowisko moralizatora francuzkiego — bo Rod przyznaje sobie tę godność — od zasad prawdziwej moralności, odrzucającej z obrzydzeniem wszystko, co tchnie fałszem i obłudą. Jego sztuczne zasady są owocem sztucznego, przesubtelizowanego społeczeństwa i literatury, dla której wstrętnem jest to wszystko, co proste.

Przesubtelizowanem też jest wszystko w książce Roda. Autor zapewnia nas ciągle o gwałtownej, niezwalczonej miłości Michała i Bianki i musi tak czynić, bo na tej miłości opiera się cała powieść, ale pomimo to, nie spotykamy w niej jednej sceny, co mówię! jednego słowa, jednego akcentu nacechowanego namiętnością. Rod nie posiada najważniejszego autorskiego daru — przedmiotowości, wyosobiania się i wcielania w działające postacie; postacie te są zawsze rozważne, dogmatyczne, sztywne, jak ich twórca. Talent to na wskroś subjektywny i dla tego ważnym momentom dramatycznym, zarówno jak i powszednim scenom, zawsze braknie u niego plastyki i barwy.

Sam Rod zresztą musiał zrozumieć, że argumenty jego przeciw rozwodowi nie były dość silne, skoro na poparcie swej tezy, napisał, dalszy ciąg poprzedniej powieści, pod tytułem „La seconde vie de Michel Teissier".

Nie, małżeństwo Bianki z Michałem szczęśliwem być nie mogło, nie tylko z powodu, że wzniosło się na gruzach szczęścia innych, ale że Michał, zmuszony był porzucić czynne życie, które było jego żywiołem, że je porzucił w kwiecie męzkiego wieku, w pełni talentu; były więc w nim niezużytkowane siły, które nieczynności znieść nie mogły, i dla tego także, iż tym krokiem

---

LISTY
Z KRAKOWSKIEGO PRZEDMIEŚCIA.

III.

Jesteśmy teraz w fazie skandynawizmu. Jedni tłomaczą autorów skandynawskich, drudzy ich naśladują, trzeci zachwycają się nimi; wprawdzie zachwyty te są chłodne i krótkotrwałe, jak urzędowa wizyta, bo Warszawa ma obowiązek zachwycać się tem, co modne, ale tylko — dopóki jest modne. Gdy minie sezon na książkę, postępują z nią tak, jak z suknią, która wyszła z mody; zamykają na klucz po lekkiem przysypaniu naftaliną lub kamforą — aby się nie zagnieździły czasem mole...

Ileż to po czytelniach naszych znaleźć można powieści w dziesięciu lub piętnastu egzemplarzach, których dziś nikt nie bierze do rąk, a sama ta liczba świadczy o tem, jak się czytały w swoim sezonie.

Ale teraz właśnie zbliża się ów mól książkowy, którego nie odstrasza woń naftaliny i stęchlizny; bierze się on do tych książek i zaczyna je gryźć po swojemu; kładzie je na szale literatury, ażeby zważyć dobytek cywilizacyjny, jaki po nich został po upływie sezonu... Niestety, często najdokładniejsza waga chemiczna nie zdradza żadnego ciężaru. Posłużywszy przez parę miesięcy za motor, wprawiający w ruch setki języków w dziesiątku salonów, książka wypełniła swoje przeznaczenie i nic po niej nie zostało — nawet garstki popiołu — wspomnienia.

Nie jestem mólem książkowym, a z urzędu swego muszę przeważnie mówić o nowościach. Wracam więc do skandynawizmu i do jednego z nowszych jego objawów. Jest nim zebrana teraz pod jedną okładkę (dawniej drukowana w odcinku „Prawdy") powieść Garborga p. t. „Z n u ż o n e d u s z e", dodać by należało i nużące. Bohater jej — jakiś wynędzniały anemik ducha i ciała — notuje starannie w długim dzienniku wszystkie drobne przygody swego niebogatego w nie życia: miłostki, rozmowy w knajpie z przyjaciołmi i długie do nich komentarze i rozmyślania nad najrozmaitszemi materyami życia i świata.

Ktoś u nas porównywał owego skandynawskiego analityka do bohatera „Bez Dogmatu". Istotnie jest wiele cech podobieństwa, zaczynając od pamiętnikowej formy powieści, a kończąc na tem, że obaj w nic nie wierzą, że obaj kochają się i nie mają odwagi ożenić się, że przesiąknięci są nawskroś manią wglądania w siebie. Ale w rzeczywistości ten norwegski melancholik wygląda chyba na karykaturę Płoszowskiego.

Od wszystkich w ogóle utworów skandynawskich wieje jakaś dziwna zaściankowość, jakiś drobnomieszczański parafianizm.

Wielkie hasła postępu wszecheuropejskiego przetapiają się tu na drobną monetę kłótni stronnictw lokalnych; sympatyczne sztandary mieleją do postaci chorągiewek na gołębnikach.

Tak też i w powieści Garborga: choroba analizy, czyli grzebania się we własnem wnętrzu, która stanowi cechę współczesnej powieści „psychologicznej", przybrała tu jakieś tak wynędzniałe kształty, tak wyblakłe barwy, że przemieniła się wprost na zrzędzenie starego kawalera, z poza którego przyświeca fizyczna jakaś niemoc — wyglądająca na owoc zbyt kawalerskiego życia.

Płoszowski — to nie znużona dusza. To niedoszły poeta czynu i życia, człowiek, któryby pragnął rzeczywistość pojąć estetycznie i filozoficznie, którego dusza jest pełna strzelistości gotyckich, który jednak nie umiał zdobyć się ani na odpowiednią filozofię, ani wybrnąć z dyletantyzmu estetycznego; człowiek, któremu warunki dziejowe połamały skrzydła, bo nie miał ich dość silnych, ażeby stanąć do walki z tymi warunkami; ażeby wbrew tej przygnębiającej i obezwładniającej filozofii postawić swoje s i c v o l o!

Wola rozchwiała się u Płoszowskich w skutek braku dogmatów życiowych, tych punktów podparcia w świecie moralnym, bez których i Archimedesowe dźwignie nic nie poruszą, a dogmaty osłabły i zanikły przez brak żywotności w uczuciach, przez oderwanie się od masy, od gruntu życiodajnego rzeczywistości, przez samolubne zatopienie się w arystokratyzmie i sy-

małżonkowie poróżnili się oboje z całem swem otoczeniem i od razu zostali wykolejeni, wyrzuceni ze społeczeństwa.

Zuzanna tymczasem, żyjąc na ustroniu, wychowywała swe córki, które przez dziesięć lat ojca swego nie widziały. Po dziesięciu latach Zuzanna umiera nagle, a córki powracają do ojca i do tej nienawistnej macochy, która była sprawczynią nieszczęścia, a może nawet i śmierci ich matki.

Jest to położenie tragiczne. Dzieci muszą nienawidzić Biankę, nie mogą uznać jej opieki, a wspólne pożycie nikomu na dobre wyjść nie może. Czują to wszyscy, ale pomimo to, nikomu na myśl nie przychodzi możliwość, tak łatwa przecież, uniknienia takiej ostateczności.

Nienawiść biednych sierot starczyłaby do unieszczęśliwienia Michała i Bianki. Łączy się do niego powód inny, Michał czuje znowu potrzebę publicznego życia, które porzucił. Skoro tylko pierwsze chwile namiętności minęły, marzy tylko o powrocie na polityczną arenę, zabija go bezczynność i życie bez walki. Trudno mu jednak stanąć pod sztandarem, któremu się sam sprzeniewierzył, jakkolwiek może darowanoby mu błąd popełniony. On zwraca się do opozycyi, łączy z ludźmi, z którymi walczył dotąd, ku rozpaczy żony, która choć sprzeniewierzyła się zasadom, wyznawać je nie przestała. To wszystko, co Michał przeszedł i przecierpiał pokazało mu odwrotną stronę idei, której dotąd służył. Ludzie uczciwi, jeżeli przechodzą taką metamorfozę, czują się w obowiązku zmienić także swoje hasło i wypowiedzieć swoje nowe credo. Tak czyni Teissier. Autor jednak robi mu z tego zarzut, twierdząc, że nie wolno człowiekowi politycznemu przechodzić z obozu do obozu, bez ujmy dla swego charakteru.

Jest to pogląd doktrynerski. Co najwyżej przyznać można, iż ludzie, nie mogąc przejrzeć głębi sumień, podejrzywają zawsze prawdę zmienionych przekonań. Kto ma odwagę przyznać się do błędu i omyłki, musi być na to przygotowany.

Teissier, jak się można było spodziewać, w obronie swego honoru zmuszony jest do pojedynku, który jednak kończy się bez krwi rozlewu, ale co gorzej, potępia go nietylko świat, ale i własna rodzina. Oburzenie, wywołane przez jego odstępstwo, staje się powodem choroby i śmierci starszej córki Anny, kocha się w niej bowiem syn zaciekłego konserwatysty, który nie chce słyszeć o małżeństwie syna z panną Teissier, zwłaszcza gdy ta panna przebywa w domu potępionego człowieka i nie mniej potępionej jego drugiej żony. Anna odczuwa tak głęboko rozłąkę z ukochanym, że jej przeżyć nie może. Doraźna kara spada na występnego ojca.

Jeśli ta nowa powieść ma być nowym argumentem przeciw rozwodowi, przyznać trzeba, że jest równie słabym, jak pierwsza. Nie rozwód bowiem Teissier'a, ale przesądy hrabiego de Saint Brun, są powodem śmierci Anny. Kto staje w kolizyi z pewną frakcyą społeczeństwa, nie wchodząc w to, czy ma lub nie ma słuszności, narazić się musi na niechęci, nienawiści i ich skutki. Jest to wogóle los ludzi walczących, nawet za najświętsze sprawy. Nienawiści te więc niczego nie dowodzą, a stosownie do punktu widzenia, bohater Rod'a może być równie dobrze uważany za ofiarę, jak za ukaranego winowajcę, za jakiego autor go przedstawia. Tym sposobem znowu, rozmija się on ze swem zadaniem.

Można śmiało twierdzić, iż wziętość swoją Rod zawdzięcza więcej niedoborom niż przymiotom swego talentu. Umie on schlebiać zręcznie panującym prądom, umie przypodobać się stronnictwu, będącemu dziś na widowni, przytem używa barw dyskretnych, przygaszonych, które wprost na nazwę mdłych zasługują, ale które dziś są modnemi i tym sposobem przystotowywa się do panującego prądu.

Wziętość Rod'a we Francyi, którą podzielać nam trudno, stanowi znamienny objaw epoki i z tego właśnie powodu zasługuje na szczególną uwagę. Rod bowiem, pomimo swego braku plastyki, swego dogmatyzmu, swej jednostronności, posiada wielkie uznanie, jest to najlepszym dowodem, iż odpowiada pewnemi stronami swego umysłu społeczeństwu, w którem to uznanie znajduje.

Walerja Marrené-Morżkowska.

„NAJMŁODSI".

II.

> Wit hout, or with offence to
> friends and foes,
> I sketch your world
> exactly asit yoes.

Bohaterowie najmłodszego pokolenia „w nędzy własnego istnienia grzebią jak w ziemi na pół-ślepe krety!" Ale analizie analiza nie równa, ani też apatya — apatyi. Lis, który łaknął winogron i nie zdobył ich, także analizuje: owoc jeszcze nie dojrzał, nie warto ubiegać się o niego! Nie bójmy się o losy tego zwierzęcia — mimo analizy nie przeanalizuje on uciech bytu i z rozkoszą opróżni każdą czarę, którą znajdzie na drodze żywota. Taka odraza jest nawskroś zdrowym objawem. To instynkt woła: nie łaknij tego, bo nie zdobędziesz, jedynie stargasz własne siły. Są przecież natury, których żądze, trzymane na uwięzi przez podjęte zobowiązania, lub pozbawione możności zaspokojenia z innych przyczyn, niby lawa burzą się w głębi namiętną analizą, grożącą roztrzaskaniem powłoce cielesnej lub obróceniem w spalenisko treści wewnętrznej. Wokulski jest podobnym typem. Solski należy do tej samej grupy: rdza niezaspokojonej żądzy przegryza ich jak to z żelazem czynić zwykła. Jest jeszcze inna apatya, będąca już nie reakcyą zdrowia, ale świadectwem zgnilizny. Jej żywe. a chodzące wcielenie jeszcze nie oglądało winogron i nie wie, czy wiszą one wysoko, lecz leniwe rozciąga się w ustronnej norze i rozmyśla, że może warto by było spróbować owocu, i czemprędzej sobie odpowiada eh! nie opłaci się skakać, kiedy zjem, może dostanę niestrawności. Jakie pobudki przeważają w analizie owych bohaterów, grzebiących się w rozpamiętywaniach nad własną jaźnią? Z jakiego źródła wypływa pustka wewnętrzna. sprawiająca, że są próżni wszelkiej rozkoszy i boją się namiętnego życia? Jeszcze jedno. Postacie poruszające się w utworach najmłodszej generacyi, acz są utkane z drgań nerwów autora i spłodzone przez jego ducha, w gruncie rzeczy są zlepkiem, przerobionym z wrażeń, jakie świat realny zapisał w ustroju nerwowym. I może tętno prawdy nigdzie nie bije tak silnie, jak u tych reżyserów spowiadającej się jaźni, tylko, że owa prawda wskrzesza nie zewnętrzne stosunki ale przejścia duchowe.

A widok jest przykry, nawet nad wszelki wyraz przykry. Jak gdyby pląsał przed nami istny korowód potępieńców!

Każdy z nich hasa z znamieniem niemocy na czole. Oblicza są coraz bardziej zbrudzone rozpaczą, im głębiej się wpatrujemy. Z początku przesuwają się postacie, jedynie zdenerwowane w nieustannej trosce o chleb, które zgrzytają zębami na ten ogłupiający taniec w deptaku zarobkowym, bez nie filozofują o czczości życia. Są dalej typy, względnie zdrowe, ale robak chorobliwej analizy zasiadł już we wnętrzu i zanieczyszcza zdrój żądzy wszelakiej. Bahater, jeden z Płoszowskich, tylko mizerniejszego kalibru, niby zdrów, ale niemoc się tam gnieździ! Rzeczywistość go nie wabi, jest jako ów jeździec na czyimś obrazie, nogami rumaka tratujący żywą kobietę i pędzący po kładce nad otchłanią za mglistem widziadłem: „Ból jeszcze czasem gorzej boli niż się zapowiadał, a ziszczona pomyślność wydaje się bledszą od przeczutej. Dopiero kiedy upragniony fakt zaczyna już uciekać w poetyczną mgłę chwil minionych, wtedy wrażenie istotne, oczyszczone z mniej pięknych, lub niepotrzebnych

---

barytyzmie duchowym, ostatecznie zaś wyżarła je filozofia zwątpienia, która na wszystko odpowiada: „nie wiem."

Bo Płoszowscy — to samoluby, nie mający żadnej wielkiej idei, którаby sięgała po za nich. Chcą zbudować szczęście swoje w sobie i dla siebie i dla tego są zawsze nieszczęśliwi.

Ludzie idei, siedząc w więzieniach na kilka dni przed gilotyną, kryjąc się od wrogów lub umierając na suchoty pisali plany przyszłego społeczeństwa, w których uszczęśliwiona ludzkość nie ma do czynienia ani z więzieniem, ani z suchotami, ani z gilotyną. — Cóż dziwnego, że dogmatów życiowych, urosłych z takich uczuć, nie potrafiła zachwiać żadna filozofia?

Współcześni „analitycy" grzebią się w swoich drobnych przedśmiertnych strachach i wrażeniach jak bohater „Śmierci" Dąbrowskiego.... Co im po ludzkości i po jej szczęściu? Dla nich świat zapada się wraz z nimi".

Tą stroną zbliża się i bohater Garborga do Płoszowskiego. I on skarży się, że wiedza na wszystkie pytania odpowiada „nie wiem"; i on w nic nie wierzy, i on zajęty wyłącznie swoją małą osóbką; ale nie widzimy tu ani głębszych źródeł tej niewiary, ani całego mechanizmu psychologicznego, który ją sprowadza i rozszerza na cały zakres myśli. Jako osobnik też różni się od Płoszowskiego tak, jak licha szkapa od rasowego, chociaż kulawego rumaka. Brak mu i tego taktu psychologicznego i tej delikatności uczuć, którą zachowuje pomimo swego sceptycyzmu Płoszowski, a którą, jak sam przyznaje, zawdzięcza estetycznemu wychowaniu.

Jest to poprostu wytarty jak miedziany grosz podstarzały kawaler, którego niewiara powstaje na gruncie miłosnym, a za źródło ma starokawalerski pesymizm i drobnomieszczański sceptycyzm: zakażony jest przytem jakiemś lekkiem obłąkaniem, które jak welon osłania postacie wielu pisarzy skandynawskich (przypomnijmy np. bohatera „Głodu" Hansuna), a objawia się w zdaniach bez związku, niedokończonych, urwanych: w halucynacyach, w mistyczno-spirytystycznych upodobaniach i t. d.

Ta melancholia, wzięta nie z życia, ale z domu obłąkanych, nadając kreacyom tym nawpół karykaturalne, nawpół smutne oblicze, pozbawia je znaczenia ogólno ludzkiego i powszechnego.

Ktoby chciał tanim kosztem zdobyć sobie opinię wielkiego erudyty, temu podajemy następującą receptę niezawodną, świeżo zastosowaną przez pewnego autora w książce „Czem jest filozofia i czem będzie?" — Niech was nie dziwi śmiałość wyrokowania o przyszłości: autor polegał na takich powagach, że mógł pod ich ochroną śmiało porywać się na przepowiednie.

Otóż recepta jest taka: bierze się jedna książka niemiecka, z której przepisuje się czem filozofia była i przytacza się cały zasób cytat (przytem trzeba wystrzegać się, aby czasem nie pomylić się i nie wpisać za autora danego dzieła imienia przypadkowo stojącego obok napisanego tytułu — jak to się udało naszemu autorowi); następnie bierze się druga książka, z której przepisuje się, czem filozofia będzie i również przytacza się cały zastęp cytat z tej drugiej. Ale o tych dwóch, z których właśnie wyjęliśmy całą swą pożyczaną wiedzę powinniśmy starannie zamilczeć, aby czasem jakiś ciekawy czytelnik do nich nie zajrzał...

Przed kilkunastu laty podobna metoda „robienia" książek, nie tylko, że się doskonale udawała, ale i wyświadczała ogromne usługi autorowi: jeśli ten ostatni był lekarzem lub prawnikiem — jednała mu ogromną klientelę; jeśli filozofem — otwierała pole do rozmaitych popisów, zaczynając od leczenia magnetyzmem, a kończąc na trenowaniu koni i doświadczeniach spirytystycznych i pedagogicznych.

Dziś niestety argusowi krytyki przybyła nowa setka oczu. Jeszcze nie zdążyła ukazać się brunatna z groszkiem okładka na wystawach księgarskich, a już w jednym z miesięczników stało czarne na białem z dowodami f r a c t a p a g i n a, że cała mądrość jej autora, razem z rusztowaniami i nadbudowaniami wzięta żywcem z H i s t o r y i f i l o z o f i i Ueberwega i S y s t e m a t u f i l o z o f i i Wundta...

W poprzednim liście donosiłem o manifestacyi w rocznicę powstania Warszawskiego.

szczegółów, ogromnieje w sercu rozpamiętującem. Ta druga fala szczęścia, jeśli nie jest mocniejsza, to częściej rozkoszna niż pierwsza.“ I sama mania pisania pamiętników zgoła nie świadczy o pełni życia. Rozumie to nasz samodziejopis. „Może to złe, że piszę dziennik, bo takie przypatrywanie się przebytemu świeżo życiu przedstawia dla mnie pewne niebezpieczeństwo. Czy piszę jednak, czy nie piszę, zawsze mimowolnie wglądam w siebie po każdem wzruszeniu, po każdej zmianie duchowego życia. To mnie męczy. Dałbym wiele za szczyptę lekkomyślności i chciałbym brać powierzchownie wszystko co mi się zdarza. Nie mogę!“ Opuszczamy zorane analizą oblicza innych mężkich przedstawicieli samogrzebania i przejdziemy do krańcowego ogniwa. Obłąkaniec ujrzał w studni swój obraz, bierze go za samodzielną istotę i studiuje, aż wreszcie zapałał chęcią zjednoczenia się z tem stworzeniem. W gruncie rzeczy jest to furyat, ale wbrew prawom psychiatryi autor czyni z niego analityka i nawet wywiesza jako godło utworu hasło, o którem rzec możemy śmiało, że zgoła nie licuje do treści: „Dusza, świadoma siebie, pragnie śmierci wściekle, pragnieniem nieugaszonem.“ A filozofia? „Szczęśliwi ci, którzy nie pojmują, że żyjemy w studni, którzy z najpoważniejszą ciekawością rozpatrują łudzące uwagę rysunki na jej ścianach, którzy z dziecinną uciechą wsłuchują się w plusk poruszanej przez siebie fali życia. Szczęśliwi, którzy po za barwą szczegółów nie znajdą nicości życia . . . Szczęśliwi, co po za dźwiękiem brzękadeł nie słyszą milczenia próżni . . .“ I ciągnie się cała litania urągań życiu . . .

A typy niewieście? I pod tem kwiciem zagnieździł się robak zwątpienia i traci soki żywotne i napełnia jaźń niemocą. Źródło choroby różne, ale owoc wygląda jednako. Ratuje je niekiedy uczucie, ale wątły to szaniec w obliczu rozhukanego potoku wewnętrznej nicości. Oto zdenerwowana nauczycielka, pracująca nad siły, może niedojadająca, że już nie mówię o głodzie innych instynktów, uciekła na wieś, ale mary ją trapią nawet w wiejskiem ustroniu. Rozczytuje się w „kartkach z walki duchowej naszego stulecia, a lubo niezadowolona z bajecznego powikłania sytuacyi, podziwia myśl „wielką“, myśl o wzrastającym niesmaku z życia, o próżni duchowej, „której niepodobna zasypać całą górą materyalistycznej wiedzy.“ I przed jej okiem staje obraz naszej doby. „Stawali przedemną ci ludzie, co wzięli cały dobytek ludzkości. Duchów chcieli na ziemię sprowadzić i marom bezkrwistym kazali zburzyć jedyne ludzkie schronienie. Szaleńcy! I cóż? wyszli na te same tory, tylko sterani, z przekleństwem na ustach; niektórzy sił już nie mieli kroczyć stopą zmęczoną i padli przy słupach granicznych, a inni okiem przygasłem wlekli się o kiju żebraczym!“ A w toku rozpamiętywań nasza analityczka zdradza swoją tajemnicę — próżnię wewnętrzną z łaknieniem bezimienności, tym pierwszym szczeblem na drodze ku Nirwanie niemocy. „Przebierałam w pamięci białe i czarne paciorki z mej skromnej kanwy i im dłużej je oglądałam, tem więcej malały; gdy zaś i kanwę wyjęłam po włosku, pozostało płótno bez deseni, bez nitki — pozostałam wtedy ja, Wanda Stawiska, „jako taka“ wyłączona z pod wszelkich warunków otoczenia, społeczeństwa, czasu, ludzi, pracy, bez wszelkich pragnień, bez żalu, lecz z jakimś balastem. Ileż to takich „w sobie“ bez śladu giniętych poczwarek, uczepionych ledwie widzialną nitką pajęczą, z wnętrzem przez pająka wyssanem, forma pozostała doskonale zachowaną — dmuchnąć i w pył się zamieni. I dmuchnąć niekiedy jest trudno, i na to siły potrzeba!“ Rzecz charakterystyczna! Ta żądza zrzucenia z siebie swojej imiennej, nawskroś indywidualnej szaty, to łaknienie zatarcia siebie w bezimiennej masie atomów społecznych jakoś aż nazbyt często występuje w utworach ostatniej doby, nawet w tych, gdzie gwarno i hałaśliwie. Przed nami powieść z rozwiniętą akcyą, w której może za mało wykończenia i za wiele rzutów i konturów. I otóż podobnie rozmyśla główna postać, kiedy z deptaku codziennego wymknęła się na zamiejską przechadzkę. „Odetchnął! Nie jest już teraz pewnym jakimś lekarzem, praktykującym w Bożowic, nie jest mężem pani Maniuty, nie jest sąsiadem Łupinkowskich, jest sobą. Jest jakimś atomem całoświata, nie zdającym sobie sprawy z niczego, cieszącym się światłem, słońcem, powiedzmy tem, co żyje bezmyślnie, jak ptak, jak gwiazda, jak słońce!“ Albo jeszcze inny wyjątek — utworu nie mogę odszukać, ale zebrana notatka nie ma więcej nad rok czasu. „Tu mogę być bezimienny, bezżenny, bezdzietny, bez rodowodu, urzędu, metryki, bez żadnych związków, tytułów, bez opinii przyjaciół i wrogów.... Ach jak to dobrze wyłuskać się z tej skóry społecznej!“ To łaknienie Nirwany, bezimienności, zgoła były nieznane namiętnym postaciom średniowiecznym.

A ludzie ci pozbywają się tak łatwo nietylko swego imienia, ale co ważniejsza przekonań. Kogoż nie wzruszy owa spowiedź umierającego w *Śmierci* młodzieńca, na łożu śmiertelnem utyskującego, że utracił swoje dziecinne „ja“, bez świadomości o tem, że je traci.

Wrócimy kiedy indziej do tego zjawiska. Tutaj zaznaczymy tylko, że jest ono symptomatem nader wymownym. Ludzie dawniejsi byli niby naturalne pączki na drzewie; jeżeli je obca ręka roztrzepała zwiędną; one potrzebują się rozwijać same i odrzucą listki dopiero wtedy, kiedy wybije godzina naturalnej śmierci dla dziecinnej pieluszki. Dzisiejsi to owa tandeta, która zastąpiła sobą naturalne kwiaty, wtykane do włosów przez dziewczę wiejskie, a będące wyrobem fabrycznego szablonu. O! te kwiaty z farbowanego płótna możemy obdzierać z listków — nie stracą one barwy! Ludzie uciekają od swojej indywidualności, ponieważ przestali ją czuć.

Ale porzućmy te bezdroża, prowadzące nas coraz dalej od gościńca naszej podróży i obce naszemu celowi, a powróćmy na należytą ścieżynę. Zostawiliśmy nauczycielkę, biadającą nad nicością i złorzeczącą życiu. Ale w głębi jej duszy bije jeszcze czysty zdrój uczucia ku matce i drobnemu rodzeństwu, które woła chleba i wyciąga po niego rączęta. Krok jeszcze dalej, a będziemy w powodzi bluźnierstw bez liku, rzucanych z namiętnym patosem błyskotliwej frazeologii. Oto zbiór nowel: manekiny poruszają się, a raczej perorują, spowiadają się, piszą pamiętniki, a wszystkie dotknięte zarazkiem analizy i jednocześnie manią nadczłowieczeństwa. Istna kryjówka głodu nerwowego, nie tego, który jest głosem krzywd wyrządzonych ciału, lecz histerycznego, chorobliwego. Z mnóstwa typów wybiorę jednę postać. Zamężna to kobieta gryzie niecierpliwie wędzidła związku. „Jestem przepalona przez ogień, który nie wybuchł płomieniem, ale tląc się, trawił duszę i dymem dusił — przez nudę, która nie wyrosła z popiołu wrażeń, lecz z niepokoju pragnień — przez chęć wielkich własnych burz, nie zaś lekkiego marszczenia się powierzchni życiowej fali!“ Może zdawałoby się komuś, że mamy przed sobą naturę zdrową i namiętną, nienawidzącą pospolitości i rwącą się do życia. Bynajmniej! To tylko namiętna histeryczka „duch tułaczy stęskniony za czemś, co istnieje tylko w perspektywie jego rozwichrzonych pragnień. Mężowi czyni zarzuty z jego równowagi, ofiarność jego wydaje się jej nawyknieniem, szlachetny entuzyazm — rutyną, myśl wielka — wypełnianiem pewnej kategoryi obowiązków, żywe poczucie ludzkości — łaskawą filantropią. A zatem precz z tym filistrem, niechaj cierpi, cóż ją to może obchodzić? „Jej prawem jest wolność osobista, najświętsze prawo człowieka!“ Postanawia więc stargać czyjeś szczęście i rzecz charakterystyczna, że z góry wyszydzi jego możliwość dla siebie.

„Trzeba jej iść dalej — dalej — ku szczęściu, którego nie ma, ku wrażeniom wstrząsającym, które trwają chwilę; ku bezmiarowi, którego darmo się szuka, ku upojeniu, które zostawia trzeźwym, ku morzom pragnienia, które nie znają urzeczywistnienia. Dalej iść trzeba, dalej! w pogoń za wabiącemi widziadłami, w pogoń za nicością!“ Porzuca więc męża, lecz nie porzuca zwyczaju spowiedzi, bo oto niebawem pisze do kogoś: „Ty nie pojmujesz tej logiki mego jestestwa, która odpędza zmorę bezczynności i nudy i czuje, że ta zmora prześladować ją będzie; która rzuca jedną formę istnienia dla tego, że jest pusta, czcza i jałowa i nie może zatracić w sobie poczucia, że pustka jest od niej nieodłączna.“ Opuszczamy długie monologi i dłuższe jeszcze duety, gdzie bohaterka, tak łaknąca czynu, kąpie się w potoku frazeologii; nadmienimy tylko, że łączy się z innym mężczyzną i szybko porzuca go bez żalu na pastwę cierpień, chce bowiem dotknąć się „największej nędzy życia — poznać życie.“ Psotne dziecko, które niszczy wszystko dla własnej uciechy i sądzi, że jest to oznaką wielkości, wówczas, kiedy figle te są arcymałe i arcyplugawe.

Tak wygląda parę postaci z galeryi bohaterów nowoczesnych. Są pomiędzy jej obrazami jeszcze inne. Jedne sympatyczne, pociągają swoją szczerą skruchą i wybuchem żalu nad własną nicością; inne, dla których czyn nie jest środkiem do czegoś wyższego, lecz narkotykiem, przeplatającym im nudę życia. Ale robak niemocy wszędzie się zagnieździł. Kiedy je oglądam w takiej mnogości, bierze mnie niepowstrzymana chęć wyprawienia im sabbatu. Za-

---

Z drugiej strony na 1 maja zapowiadają się jakieś większe objawy manifestacyjne. Według pogłosek cały szereg miejscowości objęty jest zmowami robotników; mówią o Zawierciu, Zgierzu, Bendzinie, Żyrardowie i Łodzi. Podają również liczby wojsk (przeważnie kozaków) posłanych do tych miejscowości.

Urzędowe zawiadomienie (w „Warszawskim dniewniku“) dotyczy tylko Zawiercia i brzmi tak:

„Dnia 1 (13) kwietnia około 5,000 robotników, pracujących w przędzalni akcyjnej w Zawierciu powiatu będzińskiego, urządziło zmowę i zaprzestało pracować, celem uzyskania od fabrykantów podwyższenia płacy. W dniu 2 (14) tegoż miesiąca zarząd Towarzystwa akcyjnego z upoważnienia władzy, rozesłał drukowane ogłoszenia z ostrzeżeniem, że robotnicy, którzy nie stawią się do pracy we wtorek dnia 5 (17) kwietnia, będą wykreśleni z listy robotników Towarzystwa akcyjnego „Zawiercie“, a nadto obowiązani będą natychmiast usuwać się z mieszkań, zajmowanych w zabudowaniach fabrycznych. Robotnicy zachowują się spokojnie, niepowodując żadnych nieporządków; żądania ich na tem polegają, ażeby pracującym na dniówkę podwyższono o 5 kop. na dzień, pracującym zaś od sztuki, aby płaca podwyższona była w dwójnasób“.

Dziwne także pogłoski przychodzą z Lipińskiego powiatu o manifestacyach w dzień rocznicy 17 kwietnia wśród ludności wiejskiej, o starciach pomiędzy włościanami a wojskiem, o zabraniu kilku włościan i licznych aresztach po wsiach. Wiadomości te jednak nie są oparte na żadnych pewniejszych źródłach.

A najciekawsze ze wszystkiego to są sądy filistrów o powyższych wypadkach. Oto np. pewien trzydziestoletni młodzieniec i już filister całą buzią, czuje się tą nielojalnością obrażonym w swoich uczuciach patryotycznych.

— Tak, tak, kochany filistrze, notuj skwapliwie, ilekroć ci się morze przyśni po smacznym obiedzie, będzie to twojem prawem do przyszłych wawrzynów... A my tymczasem pójdziemy je zdobywać nie we śnie.

Kochani panowie, wszak pamiętamy tradycyę Bolesławów? Nie mieczem i dzidą jak oni, lecz książką i miłością dla ludu, szczerą opieką nad jego losem, oświatą i dobrobytem materyalnym zdobywają się dziś i lądy i morza! Więc w pochód z tą bronią przeciw uciskowi i wyzyskom i niech nam dopomoże Światowid, ogarniający wzrokiem cztery strony świata i niech zatrąbi na cztery wiatry, ogłaszając nowy pochód swoich dawnych czcicieli: pochód pod hasłami oświaty i miłości.

Dzwon.

prosiłbym na wspólną ucztę tych pesymistów, czujących niechęć ku rzeczywistości i zapatrzonych w wyśnione mary bez ciała i krwi; te głodomorki nerwowe, uważające, że Nietscheńskie „hart sein!“ jest najwyższą cnotą, wówczas kiedy ono bywa sankcyą drapieżnych, samolubnych pazurów; te duchy, kąpiące się we własnem „ja“ lub gryzące serca innych ku większej chwale swojej wielmożnej osoby. Z czytania tych monologów wyniosłem wrażenie, że sabbat ów byłby farsą, pełną pozy i flirtu. Każdy udawałby mędrszego i krytyczniejszego, niż inni. Powróciwszy do swych kryjówek, wzięliby się do nicowania sabbatu, na którym wystąpili w tak mizernej roli. Ten był mięczakiem, ów — papugą, tamten szczygłem. Tylko on jeden był dzikiem a swobodnem zwierzęciem, które wprawdzie flirtowało i pozowało, ale to tak sobie, dla zabawy... U wielu bowiem z pośród tych jaźni rozpaczających nie mogę jakoś dostrzedz szczerości, flirtują one z Nirwaną, podobnie jak czynią to w miłości i we wszystkiem, a jedynie niesmak życia i męczarnie analizy są tam istotne. Ale pomiędzy nimi zdarzają się takie, które nie kłamią. Tych mi żal szczerze. A zastęp musi to być spory, kiedy tak tłumnie wtłoczył się do literatury. Mimowoli, na ich widok, pląsa przedemną faun kapituliński, nieokrzesany w swej brutalnej żądzy uczucia, ale drgający mocą i zdrowiem i z pewnością wrażliwszy na cierpienie innych i nieszydzący z nich. Marmur, w który go zaklął rzeźbiarz starożytny, ożyłby, postawiony w obliczu tych chodzących trumien pożerającej analizy, pierś jego zapałałaby rozkoszą życia, noga uderzyłaby w bachiczny rytm młodości, krew bujna napłynęłaby do żył, a ręce trąciłyby do skoku krążki dźwięcznie. I kapitoliński faun hasałby nad rozpaczą dni naszych i buchałby nowem życiem.

Bohaterowie „najmłodszych“ są bez przeszłości. Płoszowskiego niepodobna pomieścić w ich rzędzie, to natura obca, „nieobecna.“ Jedynie Prus, najwrażliwszy z naszych pisarzy na prądy miejscowe, podniósł sprawę wewnętrznej pustki w stosunku do szerokiej fali życia. Jego Wokulscy i Solscy borykują się z próżnią. Ale nie przyrównywajmy ich do pokolenia analistów, zrozpaczonych i histeryków, są bowiem naturami silnemi, usychającemi jedynie z braku ożywczego powietrza i promieni słonecznych.

K. Żywicki.

Szkoła i wychowanie.

Uwagi

z powodu prac uczniów poznańskiej król. szkoły budowniczej.

Wiadomo ze sprawozdań prasy, iż zeszłego roku, na wystawie 21 niemieckich szkół budowlanych, odbytej w Hanowerze, poznańska szkoła, choć wonczas niespełna 2 lata istniejąca, jedno z pierwszych miejsc zajęła tak pod względem wysłanych na wystawę okazów, jak i pod względem wynikającego z nich systemu nauczania. Ztąd tem większą ciekawość obudziła w nas doroczna wystawa prac uczniów, która po zakończeniu w połowie marca kursu zimowego przez tydzień cały przystępną była dla publiczności.

Z przykrością zauważyć musimy, iż prócz rodziców lub pryncypałów, będących jeszcze w związku z uczniami szkoły, mało było zwiedzającej wystawę publiczności; winę wszakże tego po części przypisać należy niepokaźnym lokalom dawniejszej szkoły realnej przy wrocławskiej ulicy, w których wystawa dobrze przedstawiać się nie może, ani wszyscy uczniowie szkoły budowniczej wygodnego nie mają pomieszczenia. Dotąd zaś od dwa i pół lat trwają pertraktacye pomiędzy korporacyami miejskiemi a władzą rządową względem budowy nowego gmachu niedaleko wildeckiej bramy, który podług obecnego położenia rzeczy, najprędzej za półtora roku szkole do użytku oddanym zostanie.

Wystawa prac uczniów była podzielona na cztery oddziały, pomieszczone w czterech osobnych salach, stosownie do czterech kursów półrocznych, jakie uczniowie na 8 klas rozdzieleni przechodzić muszą.

Za zasadę służyło przy wystawie, iż każdy kurs wystawiał z każdej klasy prace przynajmniej jednego ucznia, który wszystkie zadania kursu rozwiązał i pilnością się odznaczał; tylko kurs pierwszy, najwyższy, wystawiał prace wszystkich uczniów.

Kurs IV, najniższy, rozdzielony na trzy nierówne co do liczby uczniów klasy, wystawił w długiej salce największą ilość rysunków do różnych wiązań mularskich lub ciesielskich, prócz tego pewną ilość trudniejszych konstrukcyi w modelach, w szkole także przez uczniów sporządzonych. Były tam rysunki linearne przedstawiające najważniejsze zadania z geometryi wykreślnej, aż do konstrukcyi cieniów; były rysunki wolnoręczne, wykonywane najprzód z wzorów tablicowych, następnie z natury, przedstawiające różne bryły pojedyńcze, podług przyjętej w szkołach pruskich metody Stuhlmana; były rysunki konstrukcyjne z mularki, ciesiółki i krycia dachów, podług których ucznia poczynającego naukę od najprostszych wiązań w pierwszem półroczu, doprowadza się w mularce aż do zrozumienia sklepień zwykłych i sklepień czeskich, w ciesiółce zaś aż do wiązań dachowych o stolcu stojącym: były rysunki z nauki o formach architektonicznych, które ograniczały się w mularce na zapoznaniu ucznia z formami wątku ceglanego, a w ciesiółce na obznajmieniu go z formami odpowiadającemi wątkowi drzewnemu, jakie się np. widzi przy wiązarkach, zawieszonych przed domami wolno stojącemi. Nie mniej ważne były modele, wykonane przez uczniów tego kursu, a przedstawiające trudniejsze konstrukcye, które w ciesiółce z drzewa, a w mularce z maleńkich cegiełek gipsowych cementem ze sobą połączonych, tak starannie wykonane zostały, że w nich wszystkich szczegółów konstrukcyi dopatrzyć się było można. Modele te pozostają nadal własnością szkoły i tworzą cenny środek pomocniczy do lepszego uprzytomnienia wykładanych konstrukcyi.

Z rysunków w pierwszem półroczu po wstąpieniu do szkoły wykonanych, widać, jak w stosunkowo krótkim czasie można ucznia o małych wiadomościach z geometryi i rysunków, jakie zwykle do szkoły przynosi, doprowadzić do zrozumienia i dostatecznego przedstawienia form spotykanych w życiu zawodowem.

W następującym kursie, czyli w oddziele III, składającym się z 2 klas równoległych, przedstawiał się najprzód dalszy ciąg dyscyplin tych, co w niższym kursie; w geometryi wykreślnej widzieliśmy wzorowe zastósowanie zasad tej dla każdego rysownika bardzo ważnej nauki do wykreślania pojedyńczych połaci dachów wielospadkowych i do tak zwanego szyftowania dachów. Ta niełatwa, a w praktyce bardzo przydatna gałąź geometryi wykreślnej, traktuje się po wielu szkołach budowlanych dosyć pobieżnie: tem więcej podnieść nam przeto wypada, iż w szkole poznańskiej każdy uczeń nietylko za pomocą ściśle i to we większych pomiarkach wykonanych rysunków, lecz jeszcze przez wykonanie przeróżnych z drzewa i papy sporządzonych modeli zadania te zgłębić musi. Co do konstrukcyi budowlanych widzieliśmy tutaj z mularstwa wystawione rysunki do trudniejszych sklepień czeskich i rozmaitych sklepień krzyżowych, a z ciesielstwa skomplikowane dachy wielospadkowe. — wszystko zaś z objaśniającemi we większej pomiarce szczegółami. Z nauki o formach architektonicznych przedstawione były wcale udatnie pojedyńcze części domów jak szczyty, balkony, wykurze w cegle palonej z użyciem cegły formowanej; traktowane najprzód w ogólnych rysunkach, a potem w należących do tego wszelkich szczegółach, w których nieraz drobiazgowość zdawała nam się być aż nadto pedantyczną. Lecz właśnie dla tego szczegóły te, choć może niezrozumiałe dla lajków, u znawców wywoływały najzupełniejsze uznanie z powodu wielkiego zagłębienia się ucznia w postawione mu zadanie. — Z prac wolnoręcznych widzieliśmy rysunki różnych więcej skomplikowanych brył, rysowane tylko z natury podług modeli, najprzód w głównych zarysach, potem i cieniowane ołówkiem lub węglem, dalej rysunki z ornamentów płasko rzeźbionych, z których wiele należało jako szczegóły do rysunków z nauki o formach architektonicznych. — W tym oddziale przybywa uczniom do ścisłych nauk matematycznych, które obejmują trygonometryą i stereometryą jako też równania, jeszcze z matematyki zastósowanej statyka, o której wzorowem traktowaniu w szkole można było nabrać wyobrażenia z całego szeregu wystawionych rysunków, przedstawiających przeróżne interesujące, a z praktyki wzięte zadania.

Tak systematycznie z elementami budownictwa obeznani już uczniowie zaczynają w III klasie, czyli II klasie projektować podług podanych programów, mniejsze wolno stojące domy mieszkalne i zabudowania gospodarcze; dalej uzupełniają swe techniczne wiadomości nauką o schodach, drzwiach, oknach i o całej reszcie urządzenia domu wewnętrznego, z której to ważnej gałęzi budownictwa widzieliśmy wykonanych wiele ćwiczeń rysunkowych, przedstawionych z należytym naciskiem na wykonanie warsztatowe. Przy rysunkach i zeszytach dotyczących form architektonicznych, odpowiadających ciosowemu kamieniowi, zauważyliśmy za nagły skok od form wątku ceglango, opracowywanych w 2 klasach poprzednich, do przedstawienia różnych systemów kamiennych, zastósowanych do fasad nowoczesnych, i uważalibyśmy zapoznanie poprzednie ucznia z porządkami słupów za nieodzowne; bez tego bowiem uczeń w istotę rysowanych z tablicy za profesorem różnych członków architektonicznych należycie wniknąć nie może. Natomiast pochwalamy bardzo ściśle przeprowadzenie we wielkiej pomiarce zdjęć z wzorowych budowli miejscowych, wykonanych po części w piaskowcu, ponieważ przy tego rodzaju zdjęciach uczeń znacznie więcej korzysta aniżeli z wzorów choćby najlepszych rysując.

W ogóle wystawa kursu tego, co do wyboru jak i traktowania pojedyńczych projektów, na których też widać było przepracowanie aż do najdrobniejszych szczegółów, bardzo dodatnie wywoływała wrażenie, tak że pod względem konstruktywnym rysunków takich żadne polytechnikum powstydziłby się nie potrzebowało. Pomiędzy innemi zauważyliśmy tutaj pierwsze nazwisko polskie — ucznia Fr. Zakrzewskiego, odznaczającego się widocznie nietylko co do ilości rysunków, lecz i jakości ich wykonania chwalebną pilnością i starannością.

(Dokończenie nastąpi.)

NA WYŁOMIE.

(Nasza krytyka.)

Skarżono się nieraz nad upadkiem krytyki w dziennikarsswie polskiem, gdzie rolę Aristarchów spełniają reporterzy obdarzeni umiejętnością „pisania o wszystkiem“. Takich uniwersalnych geniuszów nie spotykamy oczywiście w poważniejszych tygodnikach lub miesięcznikach, ale królują oni w redakcyach codziennych czasopism, zkąd ich „barwne“ wyroki rozchodzą się w tysiącach egzemplarzy po szerokim świecie. Cóż z tego, że peryodyczna prasa naukowa zamieści o dziełach sztuki lub literatury fachowe recenzye, — liczba jej czytelników niewielka a królami opinii pozostają różne „kuryerki“ i „dzienniki“, rozchwytywane przez żądną lekkiej strawy i sensacyjnych nowości publiczność. W Warszawie, gdzie codzienne czasopisma powierzają sprawozdania z dziedziny piękna i oceny dzieł naukowych sumiennym rzeczoznawcom, — w Warszawie, gdzie w Kuryerkach figurują nazwiska Bogusławskich, Zalewskich, Polińskich, Gersonów, Witkiewiczów i t. d. plaga ta stosunkowo w najłagodniejszej występuje formie, ale za to panoszy się reporterska krytyka w galicyjskiem dziennikarstwie (z chlubnym wyjątkiem „Czasu“ krakowskiego) a wręcz przygnębiające wywiera wrażenie u nas, na poznańskim gruncie

— w tej polskiej Beocyi. Dziennikarz poznański, to prawdziwa „Mädchen für alles“ — z tą tylko różnicą, że „Mädchen“ umie zwykle prasować, gotować, szorować, uprzątać i t. d., a szumny redaktor lub współpracownik naszych dzienników pisze ekonomiczne artykuły bez znajomości najelementarniejszych zasad ekonomii i wydaje opinie o utworach sztuki, choć oleodruki w oknach księgarni katolickiej i malowidła w cukierni Żuromskiego wywierają nań głębsze wrażenie od arcydzieł drezdeńskiej galeryi lub monachijskiej pinakoteki. Uniwersalnych geniuszów w rodzaju Leonarda da Vinci, nie zsyła Opatrzność tuzinami na ludzkie padoły i prawdziwych krytyków uniwersalnych szukać będziesz naprożno z latarnią Diogenesa. Kto jednak zbadał zakulisowe tajniki redakcyj poznańskich, komu znane są rozliczne misye powierzane przez panów redaktorów en chef podwładnym adjutantom, ten istotnie mógłby przypuścić, że wszystkie 9 muz nad kolebką naszych dziennikarzy śpiewały.

Spotykam na ulicy znanego reportera pana X.

— Stój! dokąd pędzisz? — wołam na bohatera pióra.

Zatrzymał się, odsapnął i mówi zdyszany:

— Głowa mi pęka od zajęć. Przedewszystkiem biegnę zobaczyć obraz Jaroczyńskiego, bo stary — tak w żargonie dziennikarskim szef się nazywa — zażądał recenzyi. Potem mam na karku wystawę robót kobiecych i teatr, a jutro smarować muszę ocenę pracy Delbrücka o kolonizacyi, ulnić recenzyjkę o czwartym tomie poezyi Asnyka i kropnąć sprawozdanie z koncertu Bernhardta.

Z przestrachem wysłuchałem tej długiej litanii, a ochłonąwszy nieco, rzuciłem pokorne pytanie:

— Znasz ty się na tem mój drogi?

Spojrzał na mnie wzrokiem piorunującym i skrzywiwszy usta pogardliwym uśmiechem zawołał:

— My dziennikarze znamy się na wszystkiem!

Uścisnął mi rękę protekcyonalnie i pobiegł pisać o ekonomii, poezyi, sztuce, przemyśle — on, krytyk uniwersalny, — on, dziennikarski Pain Expeller.

W takich warunkach poziom krytyki naszej opada z przerażającą szybkością. Panowie „nasz lni“ nie posiadają często w rzeczach literatury i sztuki najmniejszej znajomości przedmiotu, a ceniąc przedewszystkiem taniość i „telegraficzność“ pracy, powierzają dział naukowy, muzyczny, teatralny i artystyczny reporterom redakcyjnym, którzy bądź to świecą umysłową próżnią na każdem polu, bądź to rozwinęli umysłowość swoją w jednym kierunku, ale roli „wszechkrytyka“ sprostać nie mogą.

Nadomiar grasuje w dziennikarstwie naszem w zatrważający sposób system protekcyjny i wyuzdana niecomal stronniczość. Pytamy przedewszystkiem, kto pisze, kto maluje, kto rzeźbi i jaki sztandar wywiesza, reszta jest na wskroś obojętną rzeczą.

Jeżeli jesteś mężem „ładu i porządku,“ jeżeli palisz hekatomby na cześć „Dziennika“ lub „Kuryera,“ jeżeli należysz do bractwa wzajemnej adoracyi, jeżeli wreszcie stąpasz szerokim gościńcem tradycyi i nie zdradzisz ani jednem słówkiem buntowniczych zachcianek, wtedy wolno ci płodzić banalności i niedołęztwa, bo wielkie organy okrzyczą twoje częstochowskie rymy Homerowską poezyą, twoje bohomazy arcydziełami Michała Anioła, twoje naukowe kompilacye i miernoty epokowemi dziełami. Ale biada ci, jeżeli jesteś „samotnikiem,“ który wrzpądz się nie pozwoli do urzędowego rydwanu naszych królików. Radzę ci złamać pióro i pędzel, lub co rychlej frunąć za granicę księstwa, jeżeli zamiast laurów skroni twoich cierń nie ma uwieńczyć.

Przypominam sobie, że przed rokiem mniej więcej ukazała się na pułkach księgarskich broszura Piotra Stromy p. t.: „O społeczeństwie poznańskiem.“ Ideowa zawartość tej pracy budzić może poważne wątpliwości, ale bądź co bądź stanął tu przed nami niezaprzeczony talent literacki, pióro lśniące jak brylant i niepospolity zmysł obserwacyjny. Broszurze Stromy poświęciły czasopisma warszawskie dłuższe oceny sympatyczne, a nawet jezuicki Przegląd Polski, karcąc ostro jej liberalne tendencye, oddał w dłuższej ocenie hołd zasłużony talentowi autora. Pisma poznańskie natomiast zawrzały strasznem oburzeniem, że w królestwie ich ktoś słowem pesymistycznej krytyki urągać się odważył ludziom i stosunkom, że śmiałek ten o paszport ich nie prosił, że stróżom opinii publicznej krzyknął nad uchem swojem „Liberum veto“ i nie klęknął przed ołtarzem patentowanych przekonań. Skrzywiono więc usta do pogardliwego uśmiechu i rzuciwszy na Stromę garść niesmacznych konceptów, pogrzebano bez krytyki książkę. Nikt nie pokusił się o wykazanie poważnych błędów rozprawy, nikt nie podniósł tych zdrowych myśli, które tam błysnęły — nie! dowcipem o „filozofii 80 — fenygowej“ wyrażono kategoryczny wyrok potępienia. Osiemdziesięciofenygowa filiozofja? Co to jest? W takim razie pan Tadeusz, nakładem „Macierzy Polskiej“ wydany, jest 50-fenygową poezyą. W obec tego dziwić się istotnie nie można, że jedno z pism warszawskich przylepiło bez ceremonii na krytykach poznańskich etykietę „idyotyczności.“

A niechaj nikt nie sądzi, że moment wyjątkowy podnoszę tu do wyżyn typowej właściwości psychologicznej, bo ten objaw dekadencyi krytycyzmu naszego, ten trupi zapach stronniczości rozlewa się w całym organizmie społecznym i tryska z wszystkich porów życia naszego. W takiej atmosferze zrodziły się w społeczeństwie poznańskiem całe legjony sztucznych wielkości, a ludzie o prawdziwym, czy to literackim, czy politycznym talencie, którzy nie kupczą zasadami i możnowładzców w pantofel nie całują, z gorzkim uśmiechem rozczarowania i boleści opuszczają ręce.

Czyż w obec takiego upadku krytyki naszej dziwić się można, że stała się ona po za granicami pruskiego zaboru przedmiotem sarkastycznych drwin i dowcipów, a w rozsądniejszej części poznańskiego społeczeństwa zdyskredytowała do szczętu powagę dzienników. Generalizowanie sympatyi i antypatyi ideowych na całego człowieka i całą działalność jego, to rak społeczny, który toczy wnętrzności nasze, a z drugiej strony z sztuczną powagą na twarzy tańczy przed nami na szczudłach patosu frazes, — ten wielki, brzmiący, napuszony, a pusty ogólnik, który zastósować można wszędzie i zawsze z mniejszem lub większem powodzeniem.

Zarazę morową wyobraża sobie lud słowiański jako bladą dziewicę z chustą czerwoną w ręku. — epidemja frazesu jest clownem cyrkowym w balonowych spodniach z grymasem zadowolnienia na licach. Twarz jego umalowana białą farbą robi wrażenie trupa, i jest w nim coś grobowego, jakiś wysiłek i rozkład. Gdy na arenę wstępuje zdrowy rozsądek, clown drapie się po głowie, potem w twarz go uderza i śmieje się głośno. Ho! ho! ho! słyszycie? Znów kręci się na korku przed wami z uśmiechem zwycięztwa i niechaj nikt się nie waży w tańcu mu przeszkadzać. Frazes, senny optymista, nie znosi analizy i trzeźwej krytyki; kraina frazesu to lokomotywa zepsuta, która podskakuje, iskrami sypie, dymi i świszczy, ale z miejsca ruszyć się nie może. Cyt! śmiałek jakiś zbliża się odważnie. Przykłada rękę do śruby, słychać głos młotka i zgrzyt żelaza. — Nagle dym buchnął, deszcz ognisty trysnął z piekielnej maszyny i junak — reformator tarza się w piasku, a oblicze jego krwawe, czarne, opalone.

Sulla.



Poznańskie echa muzyczne.

(1. Muzykalność nasza a nauczyciele muzyki; 2. Potrzeba założenia Towarzystwa literacko-muzycznego. 3. Koncert na pomnik Chopina. 4. Towarzystwo Pomocy Naukowej a stypendyaci w szkołach muzycznych. 5. Szkoła organistów przy Tumie poznańskim. 6. Fabrykacya instrumentów muzycznych.)

Dwa główne są zdaniem mojem powody, dla jakich mimo znacznej liczby nauczycielek i nauczycieli muzyki społeczeństwo nasze nie odznacza się ani muzykalnością, ani sądem trafnym w kwestyach muzycznych. Jeden powód powstał właśnie wskutek naszego ogólnego nizkiego poziomu muzycznego, który wyrzekając się krytycznego osądzenia wytwarza wprost pewną nadprodukcyę na polu nauczania sztuki muzycznej. Temu brakowi sądu i ścisłej kontroli zawdzięczamy przystęp i rozpanoszenie się ludzi niepowołanych, wykolejonych ze swych zawodów lub majątków podupadłych, nie posiadających ani wrodzonych zdolności, ani koniecznego zawodowego wykształcenia, chwytających się jedynie nauczycielstwa jako ostatecznej deski ratunkowej. Za tanie wynagrodzenie ofiarują tacy nauczyciele łatwowiernej publiczności swą lichą muzyczną wiedzę. „Jak na początek — słyszałem nieraz od lepiej wykształconych i w dobrobycie się znajdujących osób — p. N. N., ponieważ tani, wystarczy dla mojej córeczki lub synka“. Niestety! co zły nauczyciel popsuje w dwóch latach, dobry nieraz i w czterech nie naprawi. W muzyce więcej jak w innych gałęziach cały dalszy postęp po części od początków zależy. Jeśli nauka początkowa systematycznie i w racyonalny odbywała się sposób, jeśli nauczyciel przyzwyczaił ucznia do prawidłowego układu ręki i wyrobił siłę i samodzielność w palcach i pewne poczucie taktu, to praca jego czy rychlej, czy później wyda dobre owoce. Ale na pozór małe te żądania od nauczyciela elementarnego wymagają tak znajomości budowy ręki i właściwego zastosowania i wyrobienia sił muzkularnych, jak i ścisłego i systematycznego rozwoju kiełkujących w uczniu zdolności, n. p. poczucia rytmu i wyrobienia słuchu.

Mamy w Poznaniu pomiędzy nauczycielkami i nauczycielami muzyki kilka sił wybitnych, które z zamiłowaniem i znajomością rzeczy pracują nad wykształceniem naszej młodzieży. Osoby te prócz wrodzonego talentu muzycznego odebrały czy to w Lipsku, czy w Berlinie lub Paryżu na konserwatoryach muzyki należyte wykształcenie zawodowe, ale obok tych sił powołanych, pracuje jeszcze cała falanga niepowołanych, upatrujących w muzyce jedynie ową szylerowską krowę, która ich w mleko i masło zaopatruje. Egzystencyę swoją zawdzięczają jedynie niskim cenom i schlebianiu zepsutemu gustowi swych klientów. Wyższego celu nie mają na oku. Wedle takiej metody, a właściwie dla braku wszelkiej metody i systematyczności w nauce, kształceni uczniowie przez lat kilka przychodzą na „dokończenie“ do renomowanych i sumienniejszych nauczycieli. Teraz rozpoczyna się dla nowego nauczyciela mozolna, a dla ucznia nużąca i zniechęcająca praca oduczenia zakorzenionych błędów, przyswojenia mu właściwego układu ręki przy fortepianie, albo prowadzenia smyczka, to znów wykazuje się potrzeba oparcia palcowania na racyonalnej metodzie i wyrobienia tyle rzetelnej biegłości, ileby wystarczyło choć na poprawne wykonanie łatwej sonaty Mozarta albo Clementiego.

Po dwuletniej mozolnej pracy uzyskuje uczeń z trudem potrzebną wprawę i zrozumienie nieodzowne do wykonania łatwiejszego klasycznego utworu; ten sam stopień dałby się osiągnąć w tym samym czasie z ominięciem lekcyi przygotowawczych u trzeciorzędnego nauczyciela.

Drugim głównym powodem, który stoi na przeszkodzie podniesieniu się poziomu muzycznego u nas jest brak wszelkiego ruchu muzycznego. To też nieraz długoletnia u sumiennego nauczyciela z dobrym rezultatem prowadzona nauka nie wydaje później oczekiwanego owocu, ponieważ jednostka nie znajduje u nas nigdzie bodźca do dalszej pracy i kształcenia się i zmysł artystyczny powoli karłowacieje

Wyższy poziom muzyczny zawdzięczają Niemcy w Poznaniu w pierwszej linii Towarzystwom śpiewackim i muzycznym. Dalej, pielęgnowaniu muzyki kameralnej, która zmusza wprost do regularnego ćwiczenia i zagłębiania się w piękności wykonywanych utworów. Korzyść ztąd wielka. Jednostka pogłębia swą grę i poznaje najważniejsze utwory literatury muzycznej; dalej wytwarza się przez zbiorowe granie pewne artystyczne życie, konieczność łączenia się, potrzeba centralizacyi.

Ta koniecznośćześrodkowania naszych sił muzycznych nasunęła mi już dawno potrzebę założenia towarzystwa literacko - muzycznego, któreby połączyło wszystkie nasze najwybitniejsze siły artystyczne, literackie i muzyczne w jedno ognisko i czy to przez koncerty, czy przez odczyty z dziedziny muzyki, sztuki i literatury ożywczo oddziaływało na nasze społeczeństwo i wyrobiło powoli lepszy smak artystyczny. Prawda, że mieliśmy już w tym kierunku kilka prób, ale Towarzystwa te za wielki nacisk kładły na zabawę, a za mały na naukę, nie umiały widocznie zainteresować i przyłączyć lepszych sił artystycznych i dla tego upadły. Mojem zdamem inicyatywa i główne przeprowadzenie tej myśli powinno wyjść od ludzi fachowych, którym w pomoc przyjść powinni wszyscy pracownicy na różnych polach artystycznych, również miejscowi literaci, dalej liczni amatorowie muzyki, pragnący się dalej kształcić. Takie towarzystwo byłoby dla muzyków ze zawodu zarazem bodźcem i podnietą do dalszej pracy i kształcenia się; dla amatorów nastręczyłaby się sposobność poznania utworów trudniejszych, zbiorowych sił wymagających. Takie towarzystwo reprenentowałoby niejako urzędownie nasz świat muzyczny i byłoby wyrazem naszego ruchu artystycznego. Podobnej reprezentacyi dotąd nie mamy i pod tym względem stoimy niżej od wielu powiatowych nawet miast Kongresówki i Galicyi. Tak Warszawa Kalisz jak i Kraków, Lwów i inne pomniejsze miasta naszej ojczyzny posiadają oddawna towarzystwa muzyczne, które się bardzo korzystnie rozwijają i dodatni wywierają wpływ na wyrobienie prawdziwego smaku artystycznego. Jak łatwem n. p. byłoby urządzenie koncertu na pomnik Chopina, gdyby towarzystwo muzyczne w Poznaniu istniało, jak odpowiedniem i przyjemnem uczcić i ugościć artystę-rodaka do nas zajeżdżającego. Niestety, kiedy już wszystkie miasta w Kongresówce i Galicyi o urządzeniu koncertów na pomnik Chopina pomyślały, Poznań mimo moich nawoływań nie poczuwa się do obowiązku względem nieśmiertelnego muzyka. Gdybyśmy posiadali towarzystwo muzyczne, nie sprawiałoby urządzenie koncertu tak wielkich trudności. Nie posądzam też naszego społeczeństwa o obojętność i sądzę, że tak samo jak ja wszyscy są przekonani, że Chopinowi zawdzięczamy jedynie podniesienie naszego znaczenia w świecie muzycznym, bo to, co przed Chopinem u nas na polu światowej muzyki stworzono, nieznane było za granicą, a dziś nawet w kraju w zapomnienie poszło. Muzyka zaś Chopina zapewni na długo narodowej sztuce muzycznej sławę i znaczenie u obcych. Więc nie lekceważenie powziętego we Warszawie projektu wystawienia pomnika staje tu na przeszkodzie, tylko jedynie brak wystąpienia z tą myślą jakiegoś grona ludzi równo myślących i równo działających. Zestrzelmy więc siły w jedno ognisko, a z łatwością sprostamy obowiązkowi narodowemu: uczczenia największego narodowego mistrza tonów. Obowiązek bowiem przysporzenia grosza do ogólnego funduszu, przeznaczonego na wystawienie pomnika Chopinowi w Żelaznej Woli cięży na nas i domaga się, jeśli nie teraz to najpóźniej na początku przyszłego sezonu spełnienia. Sądzę też, że najdzielniejsze siły muzyczne poznańskie nie odmówią swego współudziału i tem samem złożą przynależny hołd cieniom nieśmiertelnego artysty-muzyka.

O innem zadaniu wspomnę tu jeszcze Towarzystwa literacko-muzycznego mianowicie, o przysłudze jaką by mogło wyświadczać towarzystwom Pomocy naukowej, wydając sąd o kwalifikacyi zgłaszających się o stypendya młodych aspirantów do zawodów artystycznych. Znanem mi jest bowiem, że w zarządzie wymienionych Towarzystw nie zasiada ani jedna muzykalna osoba zawodowo wykształcona, a z tego powodu trudno dyrekcyi wydać sąd o zdolnościach przyszłego stypendyata. Widocznie nie zasięgano też w niektórych razach zdania ani miejscowych wybitniejszych muzyków, ani też profesorów konserwatorjum na którym się stypendyat kształcił. Temu złemu zaradziłaby do pewnego stopnia zdaniem mojem osobna komisya egzaminacyjna w której skład powinni wejść członkowie zarządu przyszłego towarzystwa muzycznego. Do zadań komisyi należałoby nawet proponowanie dyrekcyi Pomocy naukowej w celu wspierania uzdolnionych uczniów mających zamiar i potrzebne kwalifikacye na nauczycieli muzyki i do artystycznych zawodów.

Nauka muzyki po większych i mniejszych miastach Księstwa po części smutnych i nędznych znajduje przedstawicieli. Nasi organiści z małymi wyjątkami nie posiadają obecnie odpowiedniego wykształcenia zawodowego, ani nie potrafią prowadzić chórów, ani nie posiadają potrzebnych zdolności do udzielania lekcyi gry na fortepianie lub jakim smyczkowym instrumencie. Przy tej sposobności widzę się zmuszonym poruszyć znów kwestyę założenia przy Tumie poznańskim szkoły organistów.

Sprawę tę poruszyłem już raz w odczycie: „Rozkwit upadek i reforma muzyki kościelnej,“ jaki przed kilku laty miałem w Towarzystwie „Staszyc“ w Poznaniu. Już wtenczas zwróciłem uwagę na podobne stosunki w Niemczech i Francyi i uznałem potrzebę słuszną otworzenia przy Tumie poznańskim szkoły organistów pod dyrekcyą dzielnego znawcy kościelnej muzyki ks. dr. Surzyńskiego, dowodząc, że organiści ze specyalnem wykształceniem muzycznem i pewną wiedzą humanitarną mogliby znaczne przynieść społeczeństwu naszemu korzyści. Dotąd w tym kierunku nic jednak nie uczyniono, a sprawa ta ważna, jeśli muzyka kościelna całkiem nie ma zdziczeć. Koniecznem jest więc, aby Kapituły tak w Poznaniu jak i Gnieźnie sprawę tę wzięły pod uwagę i ostatecznie zdobyły się na otwarcie szkoły organistów w Poznaniu i w Gnieźnie. Wszakże tu w pierwszej linii chodzi o większą chwałę Bożą. Na tem polu potrzebna jest powszechna reforma, a tej możemy się jedynie za sprawą naszego duchowieństwa spodziewać. Sądzę, że przy pomocy księży Proboszczów nie trudno będzie wybrać z pomiędzy inteligentniejszych chłopców takich, którzyby posiadali potrzebne uzdolnienie muzyczne, a nadto choćby i skromne środki materyalne na uzyskanie odpowiedniego wykształcenia w szkole organistowskiej. Gruntowne zawodowe wykształcenie jakieby uczniowie z ręki wytrawnych przy szkole zatrudnionych nauczycieli odebrali musiałoby podnieść muzykę kościelną i przyczyniłoby się w wysokim stopniu zarazem do podniesienia świetności i powagi całego nabożeństwa w kościołach katolickich. Prócz tego mogliby tak wykształceni organiści dochód swej posady powiększyć przez udzielanie prywatnych lekcyi muzyki i objęcie kierownictwa kółek śpiewackich.

Inna gałęź przemysłu z sztuką muzyczną w ścisłym pozostająca pokrewieństwie, a u nas całkiem zaniedbana jest fabrykacya instrumentów muzycznych, a zwłaszcza smyczkowych. Polska nigdy na tem polu nie odznaczała się produktywnością, mimo znacznej potrzeby, którą przeważnie zagranica zaspakajała. Z dawnych czasów znam ledwie kilka wybitniejszych nazwisk pomiędzy któremi A. Groblicz najwyższe zajmuje miejsce. W nowszych czasach nabrał pewnego rozgłosu w Polsce warszawski fabrykant skrzypców p. Tatomir Żarski, przez którego budowane skrzypce dzięki uprzejmości p. Dr. Kapuścińskiego w Poznaniu miałem sposobność osądzić. Prawdopodobnie wykaże dopiero wystawa we Lwowie nasz prawdziwy na tem polu dorobek. Dotąd jednak i prawdopodobnie w przyszłości pierwsze miejsce we fabrykacyi instrumentów smyczkowych zajmują Niemcy i Francya. Nieco niżej stoi Anglia. Dzisiejsze Włochy zaś kontentują się na razie sławą Amatich, Stradivarich, Guarnerich niedoścignionych na tem polu mistrzów 17 stulecia. Wiem z doświadczenia ile zdolności właśnie w tym kierunku objawia się pomiędzy naszym prostym ludem. Chodziłoby tylko o wydobycie talentu z ciasnych stosunków i rozwinięcia takowego przez systematyczną pracę najprzód u jakiego dobrego stolarza, a potem u dzielnego specyalisty, gdzieby prócz potrzebnej technicznej wprawy i teoretyczną podwalinę odebrał. O takich ludzi nie trudno w Niemczech.

Z jednym z najwybitniejszych reprezentantów fabrykacyi instrumentów smyczkowych łączą mnie dawne ściśle i serdeczne stosunki. Sądzę, że przy pomocy tej osobistości, dużo życzliwości dla nas nadto żywiącej, możnaby bez wielkiego kosztu wykształcić kilku uzdolnionych prawdziwie młodzieńców w tym zawodzie. Pośrednictwo chętnie ofiaruję. Jestem też przekonany nadto, że takowi znaleźliby czy to w Poznaniu, czy na prowincyi dobre utrzymanie i zaspokoiliby wielką potrzebę licznych muzyków i lubowników muzyki, którzy dziś dla braku reprezentantów tego zawodu są zmuszeni udawać się w każdej potrzebie do zamiejscowych fabrykantów.

Edwin Jelinek.

KRONIKA KRAKOWSKA.

Kraków 7 Maja.

(Dzień 1 Maja. Dalszy ciąg kandydury prof. Milewskiego. Krakowskie Towarzystwo Przyjacció1 Sztuk Pięknych- Drobiazgi.)

Żyjemy wszyscy, oprócz naturalnie tych, co poumierali, w sposób przepisany przez naukę lekarską. Żyjemy wszyscy, to znaczy, że dzień pierwszy Maja przeszedł u nas spokojnie. A były poszlaki, że tak nie będzie, bośmy widzieli komisarzów policyjnych w mundurach i przy rożenkach, policyantów z bronią polną, najnowszego kalibru, ułanów na koniach z obnażoną bronią sieczną, słowem cały aparat policyjno wojskowy w pogotowiu. Ale karabiny milczały, a szable tylko się przewietrzyły, nie mając sposobności umaczania się we krwi socyalistów. Było to bardzo łatwem do przewidzenia, boć nasza partya robotnicza posiada zupełnie odmienne rysy od swoich koleżanek zagranicznych. Wyjątkowo tylko który z jej członków w przystępie dobrego humoru, zemści się na pejsach żydowskich za winy panów, wysokiej szlachty i burżuacyi. Czasem znowu wybuchnie bójka na Kleparzu, ale to już pomiędzy samymi członkami partyi robotniczej, a przyczyną takiej bójki i za nią idących sińców, jest zazwyczaj miłość do „tej z przeciwka,“ lub ustna obraza honoru, zrodzona w chwili podniesienia ducha przy pomocy wina, piwa, rosolisu i „różnych innych trunków,“ dostarczanych z ujmującą grzecznością przez Berka, Moška, przez starą Chaję lub młodą Siórę.

Losy kandydatury prof. Józefa Milewskiego na posła do Rady państwa są bardzo niepewne. hetmany i marszałkowie i wogóle senatorowie stronnictwa konserwatywnego czynią wszelkie usiłowania, aby przyprowadzić do posłuszeństwa jego kontr - kandydata p. Włodka i zniszczyć rokosz obywateli ziemi bocheńskiej, brzeskiej i wielickiej. Czas umieścił wstępny artykuł pełen klemencyi i rewerencyi dla osoby p. Włodka, podnoszący jego wielkie zasługi dla dobra Rzeczypospolitej, ale wyjaśniający tak jemu jak i jego przyjaciołom politycznym, że z profesora Milewskiego jako oratora, statysty i bimetalisty, może być jedyny w obecnych czasach defensor Patriae. Toż samo wszem wobec i każdemu z osobna tłomaczy „Głos Narodu“. Komitet centralny przedwyborczy dla zachodniej Galicyi unanimiter uchwalił polecić elektorom kandydaturę profesora Milewskiego. Nawet, jeżeli się nie mylę, jednodniowy pobyt wielkorządzcy Galicyi hr. Badeniego w Krakowie był w związku z tą sprawą, na obiad bowiem wydany podczas jego pobytu, z poza grona samych naczelników władz i paru instytucyi, zaproszonym jedynie został prof. Milewski. Wszystkie te objawy zniewoliły 22 obywateli do wniesienia protestu w grodzie bocheńskim, oraz do uchwały popierania kandydatury

p. Zdzisława Włodka. Co prawda nazwiska tych obywateli nie są bardzo wybitne, a dziesięciu z nich nie ma brzmienia polskiego. Pomiędzy podpisanymi są i p. Bolesław Włodek, brat kandydata i p. Jan Goetz, szwagier kandydata; jako niebiegły w geneaologii rodziny Włodków nie wiem ilu dalszych krewnych i powinowatych kandydata znajduje się pomiędzy podpisanymi. Sprawę tego wyboru poruszam już po raz drugi, tak ze względu na wysoce wybitną osobistość prof. Milewskiego, jako też na dowód, jak się „coś coraz więcej psuje w państwie duńskiem" naszych konserwatystów. A każdego roku pojawia się jakaś broszura lub mowa z tego obozu, podnosząca potrzebę organizacyi. Co się to o tej organizacyi nie napisał już hr. Stanisław Tarnowski! — a prof. Madeyski, dzisiejszy minister, już przed kilku laty otrzymał huczne oklaski za słowa: my już jesteśmy zorganizowani! Stąd dwa jasne dowody: a) że nawet głos prezesa akademii może być głosem wołającego na puszczy b) że nawet głowy ministeryalne mają oczy, a nie widzą.

Oprócz kandydatury prof. Milewskiego stoi na porządku dziennym w Krakowie sprawa Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych. Już przed dziesięciu laty byłem tym odważnym, który ją poruszył w wychodzącym wówczas „Przeglądzie literacko-artystycznym". Rzecz sama zresztą prosiła się o krytykę, gdyż podobnie zorganizowanego Towarzystwa nie ma zapewne nietylko na kuli ziemskiej, ale i na wszelkich innych światach zamieszkałych, jeżeli się takie znajdują, o czem nas w swoim czasie nie omieszka zawiadomić były wydawca (nie redaktor) „Kurjera polskiego", który jako jedyny zdecydowany przeciwnik Kopernika, musi mieć pewniejsze wiadomości o stosunkach poza ziemskich, niż wszyscy żyjący astronomowie. Kto wie zresztą, może gdzie na Marsie naprzykład, znajduje się Towarzystwo, którego członkowie nie mają prawa głosu nawet na walnych zgromadzeniach, chociaż cały dochód Towarzystwa opiera się na ich składkach. Może na tym zacnym Marsie znajduje się i komitet podobnego Towarzystwa przez nikogo nie wybierany, a sam się wybierający. Ale na kuli ziemskiej, jestem o tem najmocniej przekonany, jedynym takim unikatem jest Towarzystwo przyjaciół sztuk Pięknych w Krakowie. Każdy jego członek ma prawo raz na rok przyjść i wysłuchać sprawozdania, ale czy ono mu się podoba czy nie podoba, ma obowiązek jedynie milczeć (oklaski nie są zabronione). Wniosków mu na tem zebraniu żadnych stawiać nie wolno, nawet choćby chciał uczynić propozycyę „uczczenia przez powstanie" doniosłej w skutkach działalności komitetu. A ten komitet wybiera się w sposób następujący: corocznie ustępuje z niego trzech czy czterech członków, a reszta głosuje czy ich zatrzymać czy kogo innego na ich miejsce wprowadzić. Tego rodzaju organizacya nie istnieje nawet w Warszawie pod rządem, gdzie o konstytucyi i o wolności Stowarzyszeń nie ma mowy. I pomimo, że kuratorem warszawskiego Towarzystwa jest Apuchtin, to przecież członkowie mają prawo zabierania głosu i prawo wybierania komitetu. Skutki organizacyi krakowskiego Towarzystwa łatwe były do przewidzenia: gdzie członkowie nie mają praw żadnych, gdzie jedni i ci sami rządzą, gdzie wybory odbywają się „po przyjaźni" ze sfery jednej i tej samej koteryi, tam musi nastąpić zastój, tam najczęściej jedna osobistość, sprytniejsza od innych, bierze rządy w swoje ręce i robi co jej się podoba, a jeżeli nie robi dobrze, jeżeli nie ma ku temu kwalifikacyji, a dużo miłości własnej i chęci imponowania, to upadek Towarzystwa staje się kwestyą czasu. I tak też było w Towarzystwie krakowskiem. Przez kilka ostatnich lat rządził w niem, jak szara gęś p. Zygmunt Cieszkowski, uchodzący za mecenasa sztuki. Dużo byłoby mówić o tem mecenasostwie, boć z pustego nic nie naleje, a jeszcze więcej o tych rządach, nie chcę jednak zaglądać w „puszcz Towarzystwa przepastne krainy". Dość, że artyści pomału od niego się odsuwali, będąc narażeni na ciągłe zatargi i nieprzyjemne scysye osobiste z p. sekretarzem Cieszkowskim, któremu się zdawało, że salony Towarzystwa są jego własnem mieszkaniem, a artyści jego dworakami. Obecnie sprawę Towarzystwa poruszył „Głos Narodu", przytaczając cyfry stanowczo świadczące o jego upadku. W r. 1885 zaoszczędzony fundusz Towarzystwa, nazywający się „funduszem dzieł pomnikowej treści", wynosił 33,000 złr. W r. 1885 zamieniono go na fundusz „żelazny", gdyby więc nic do niego nie przybyło to przez samo narośnięcie procentów kapitał dziś wynosić powinien 47,133 złr. Ale nie tęgie być musiało żelazo tego żelaznego kapitału, kiedy ostatnie sprawozdanie wykazuje go w kwocie 23,742 złr. Jednocześnie koszta administracyjne powiększyły się o parę tysięcy, a kiedy dawniej zakupywano dzieł sztuki mniej-więcej za 15,000 złr., to w roku 1892 przeznaczono 9,000 złr. Dochód z akcyi również się zmniejszył — słowem Towarzystwo chyli się coraz więcej i tylko zmiana jego organizacyi może wpłynąć na jego uzdrowienie.

Te stosunki w łonie Towarzystwa sztuk pięknych wywołały między artystami chęć oparcia się na własnych siłach i założenia własnego stowarzyszenia. Ułożono statut i uzyskano zatwierdzenie namiestnictwa. O sprawie tej bliżej w przyszłej korespondencyi pomówię, bo zbyt ona ważna dla rozwoju sztuki polskiej, aby nad nią się głębiej nie zastanowić.

K. Bartoszewicz.

Berlin, 26 kwietnia.

W imię prawdy, której „Przegląd" ma służyć, proszę uprzejmie o zamieszczenie w tym numerze niniejszego mego pisma.

W numerze pierwszym „Przeglądu", w artykule zatytułowanym jako korespondencya z Berlina, podpisanym przez „J. J.", a dotyczącym głównie tutejszej kolonii polskiej, są pewne mylne wiadomości i nieuzasadnione zarzuty, których milczeniem pominąć nie mogę.

Przedstawiono tam, jakoby Polonia tutejsza, w usiłowaniach swych zorganizowania się pod względem wyborczym, oraz w utworzonym tu komitecie polskich stowarzyszeń, niewłaściwie sobie postępowała, na błędne wchodząc drogi.

Byłem zwołującym i przewodniczącym, odbytego tu w tym czasie, wieca polskich wyborców i należę do obranej na nim komisyi, mającej dalej działać, a komitetowi stowarzyszeń przewodniczę. Wypełniając więc spadające ztąd na mnie obowiązki, muszę wysłać do Szanownej Redakcyi niniejsze pismo, aby — mimo, że w pomienionym artykule znajdują się pochlebne dla mnie zdania — sprostować niektóre mylne szczegóły.

Znane mi tu koło ludzi, chcących pożytecznie dla dobra ogólnego społeczeństwa naszego pracować, przyjmuje chętnie wszelkie zdrowe rady — to jest na znajomości faktycznych stosunków i potrzeb tutejszej Polonii oparte — pragnie z rad takich korzystać. Żyjąc tu na obczyźnie, wobec bardzo utrudnionych dla nas jako Polaków warunków, musimy się starać najusilniej o pomoc wszystkich możliwych czynników. Ogólnem zaś naszem tutaj zadaniem jest wywalczyć sobie — o ile siły starczą i odpowiednio do własnych potrzeb, tudzież obowiązków w obec całego naszego społeczeństwa — właściwe pod każdym względem stanowisko. Musimy więc wyrabiać wśród siebie pewną potrzebną do tego organizacyę.

Nie chcemy jednak bynajmniej niczego narzucać krajowi i nie mamy żadnych zachcianek stawać na czele naszego społeczeństwa w jakimkolwiekbądź kierunku.

Przypisywanie Polakom w Berlinie myśli utworzenia polskiego „centralnego komitetu wyborczego na całą Polskę pod pruskim zaborem", (wyrażając słowami autora artykułu) w rzeczywistości nie ma żadnej podstawy.

Myśl podobna powstała przecież i pokutuje w kraju, a nie w Berlinie. My zaś tu zamieszkali Polacy, organizując się z pewnych koniecznych względów politycznie, zastanawiamy się także i nad podniesionym w kraju projektem utworzenia w Poznaniu centralnego komitetu wyborczego. To nasze zastanawianie się nad tą sprawą jest tem właściwsze, że wzywano z kraju publicznie i rodaków w obczyźnie zamieszkałych do wypowiedzenia w tej sprawie swego zdania.

Czy jesteśmy tu za takim komitetem lub nie, albo też pod pewnymi warunkami — tego nie wypowiedzieliśmy nawet jeszcze. Tem mniej marzyło się nam w Berlinie komitet podobny zakładać.

Co do utworzonego tu komitetu stowarzyszeń, to pomylił się również zupełnie autor pomienionego artykułu, mówiąc, że komitet ten zamierza objąć towarzystwa będące w kraju. My tu w Berlinie nie chcemy tego bynajmniej — i ani nawet myśli o tem nikt tu nie miał i nie ma. Pragniemy tylko, za pomocą tego komitetu, porozumiewać się w naszych towarzystwach, naprzód w Berlinie, w sprawie rozmaitych wspólnych miejscowych potrzeb; następnie, pragniemy podobnego porozumienia się i z innymi towarzystwami na obczyźnie, o ile to w ogóle właściwem i stosownem być może.

Całkiem bezpodstawny jest więc zarzut zrobiony berlińskiej Polonii z powodu rzekomej chęci jakiegoś niewłaściwego przewodnictwa; płonną jest zarazem oczywiście wyrażona obawa, iż może przez to ta Polonia spowodować w naszem społeczeństwie „niebezpieczne rozdwojenie i rozgoryczenie."

Nie rozwodzę się bliżej nad zdaniem, jakoby obecny pewien ruch tutejszej Polonii miał chcieć naśladować dawną emigracyę naszą w Paryżu, przewodniczącą niegdyś całej Polsce, to jest był świadectwem dążności, aby stanąć na czele ruchu narodowego i przewodniczyć społeczeństwu polskiemu pod pruskim zaborem." W obec bowiem faktycznego przedstawienia odnośnego stanu rzeczy, uważam to za zbyteczne.

Polonia tutejsza, będąc rozrzuconą pośród obcego żywiołu, o ile chce być wierną Ojczyźnie, stara się przedewszystkiem, wszelkimi możliwymi sposobami, o zachowanie swej narodowości, a więc w pierwszym rzędzie języka ojczystego u siebie i u swego potomstwa. To jest też głównem zadaniem wszelkich tutejszych patryotycznych usiłowań naszych rodaków.

Wreszcie wyrażam nadzieję, że szanowny autor pomienionego artykułu — chcąc aby omawiany przez niego ruch tutejszy szedł „właściwą drogą" — nie omieszka na przyszłość czynnie w tym ruchu brać udział i o wszystkiem dowodnie się przekonywać. Poznamy go tu i powitamy najchętniej, jako pożądanego nowego współpracownika w gronie dotychczas działających.

Władysław Berkan.

KRONIKA LITERACKA.

— Zakład narodowy imienia Ossolińskich. Skreślił Dr. Wojciech Kętrzyński, dyrektor tegoż Zakładu. Lwów, 1894, w 8ce stron 86.

W chwili, gdy bardzo wiele osób z całej Polski wybiera się do Lwowa celem zwiedzenia powszechnej wystawy krajowej, wielce przydatną publikacyą jest powyższa książeczka, w której autor na podstawie autentycznych dokumentów skreślił żywot założyciela Zakładu hr. Józefa Maksymiljana Ossolińskiego i przedstawił rozwój tegoż Zakładu od samego początku do dnia dzisiejszego. Spotykamy tam wspomnienia tak znakomitych obywateli, jak Henryka i Jerzego kss. Lubomirskich, hr. Maurycego Dzieduszyckiego, hr. Kaz. Krasickiego i prof. Małeckiego — pełniących obowiązki kuratora lub jego zastępcy, — jako też tak zasłużonych w dziedzinie nauki mężów — jak ks. Siarczyńskiego, Słotwińskiego, Kłodzińskiego, Bielowskiego, Szajnochy i innych, sprawujących urząd dyrektora lub kustosza Zakładu. Obecny, sam tak bardzo zasłużony dyrektor Zakładu — dr. Kętrzyński — z wielkiem ciepłem kreśli historyą jego i patryotyczne usiłowania jego kierowników, którzy z wielkiem poświęceniem pracowali nad utrwaleniem tego pomnika ofiarności obywatelskiej — a zarazem źródła i dźwigni oświaty narodowej. Między r. 1831 a 1849 srożył się straszliwie w Galicyi despotyzm austryacki, — praca w kierunku szerzenia oświaty narodowej uchodziła już za zbrodnią. Padł ofiarą tego ucisku dyrektor Zakładu Słotwiński, który — uwięziony w r. 1834 — po dwuletniem śledztwie skazany został w r. 1836 na 8 lat fortecy i wywieziony do Kufsteinu. Przetrwał atoli Zakład te burze, a dzisiaj otoczony opieką władz krajowych rozwija się znakomicie — jako jedna z głównych instytucyi naukowych naszego narodu.

Nadmieniamy w końcu, że pięknej tej publikacyi, wykonanej we własnej Zakładu drukarnią — dodają, ozdoby ryciny przedstawiające portrety fundatora Ossolińskiego, kuratorów ks. Henryka i Jerzego Lubomirskich, zastępców kuratora Maur. Dzieduszyckiego i hr. Krasickiego, popiersie hr. Marceli Worcellowej — jako też widok Zakładu. (c.)

— W cieniu i słońcu przez Sewera. Warszawa 1893. T. Paprocki i Spł.

Sewer wchodzi w stadyum dojrzałej twórczości, w którem artysta zna i kocha swój rodzaj artystyczny i „opanował formę.“ Jest to więc chwila, w której od krytyki należy się autorowi więcej niż wzmianka. Tom ostatni składa się z rzeczy takich jak „Nad brzegami Rudawy,“ „Wiosna,“ „Konkurs“ itp Tematy czerpane bądź z życia ludowego — wtedy są „malowane w słońcu,“ — albo też, jak „Konkurs,“ z życia artystów-malarzy. W drugim wypadku rzeczy są pełne werwy i tej cygańskiej, pełnej wesołych dziwactw atmosfery, która cechuje sferę młodych malarzy. „Konkurs“ przypomina rodzajem „Tę trzecią“ — co mu jednak nic nie ubliża.

— Ćma. Materyały do powieści przez Maryana Gawalewicza. Wydanie 2 z illustr. Illinicza. Nakł. Gebethnera i Wolffa.

„Przystojny, bogaty wykształcony, niezależny, zdolny niepospolicie“ p. Bolesław zmarnował się jak zmarniała perła, która wypadła ze swej oprawy i zamiast być klejnotem, zmieniła się w rupiecie. Przyczyną zwichniętego życia była jego miłość do pani Loli Malińskiej, która zerwała więzy towarzyskie, porzuciła męża i dziecko aż wreszcie zginęła w nurtach jeziora pod uderzeniami zazdrośnego tenora włoskiego. Dzieje tej kobiety opowiada właśnie dwom swym przyjaciołom wzmiankowany już pan Bolesław, opowiada w formie dość niezwykłej, bo opowiadanie urozmaica odczytaniem urywków powieści i komedyi, które sam z życia Loli układał.

Niezwykła forma usprawiedliwić ma skromną nazwę dzieła: „materyały do powieści.“ Treść wewnętrzna bardziej jeszcze nazwę tę usprawiedliwia. Powieść p. Gawalewicza bynajmniej nie odpowiada wymaganiom, do jakich przyzwyczaili czytelników pierwszorzędni powieściopisarze. „Ćma“ nie daje ani nieopisywanych dotąd typów, ani odsłania nam nieznanych kryjówek duszy ludzkiej. Banalne morały epilogu o newrozie XIX wieku, o winie mężczyzn w upadku kobiet nie mogą przecież zastąpić artystycznego odtwarzania. Przyznać wszakże należy, że „Ćma“ nie falszuje przynajmniej rzeczywistości, jak to czyni np. „Mgła“ tegoż autora i stanowić może nieszkodliwy nabytek lekkiej lektury, mającej dosyć zwolenników, jeżeli powieść p. Gawalewicza doczekała się już drugiego wydania, którego nie mają jeszcze ani „Cham“ Orzeszkowej, ani „Lalka“ Prusa, ani nawet „Bez dogmatu“ Sienkiewicza.

— Adam Szymański. Jak siać, aby i praca ludzka i ziarno nie szły na marne? Z pod pióra znakomitego autora „Szkiców“ wyszła w najświeższym czasie popularna broszura poświęcona ocenie rozlicznych sposobów siania i rozlicznych gatunków siewników. Słynny powieściopisarz, głęboki psycholog, barwny kolorysta, który pozbierał łzy rozsute w krainie niewoli i siłą geniuszu swojego zmienił je w perły literatury ojczystej, dziś jako rolnik staje przed nami i uczy nas jak ziarno rzucać w ojczystą ziemię, aby z niej bujne wyrastały kłosy. Wykład o siewie i siewnikach jest zajmujący, jasny i potoczysty, język piękny i poprawny, argumentacya logiczna i przekonywająca. Autor stara się mianowicie wykazać, że racyonalne gospodarstwo rolne porzucić musi system siewu rzutowego i zwrócić się do siewników rzędowych, które dziś już na zachodzie Europy w powszechnem są użyciu, a w ziemiach polskich niestety jeszcze w małej stosunkowo znajdują się liczbie.

Wszystko co autor na poparcie postulatów swoich przytacza, a więc ciekawe wiadomości o rozszerzeniu siewników rzędowych, przyczyny, dla których u nas jeszcze stary system rzutowy w gospodarstwach króluje, charakterystyka błędów i niedoborów tego systemu ocena doniosłych przymiotów siewu rzędowego, dokładne opisy rozlicznych siewników (system Flöthera, Eckarta, Sacka, Cegielskiego), statystyczne wskazówki o stratach materyalnych, które Prusy, Galicya, Królestwo i Rosya wskutek siewu rzutowego ponoszą, apel do towarzystw rolniczych i prasy w sprawie popierania siewu rzędowego, wiadomości o siewnikach wędrownych, — wszystko to wystawia broszurze Adama Szymańskiego najchlubniejsze świadectwo. Autor przedmiot swój opracował z najwyższą sumiennością i oparł wywody swoje na obszernych studyach. Nie wątpimy zatem, że książka jego znajdzie się niebawem w rękach wszystkich małych i wielkich rolników, wywierając wpływ dobroczynny na rozwój agrykultury krajowej.

KRONIKA POWSZECHNA.

— W wydziale historyczno-literackim Tow. Przyjaciół Nauk odczytał przewodniczący pan dr. Erzepki rozprawę Leszka Dziamy (Lwowianina) p. t.: „Charakterystyka zapatrywań politycznych Kaspra Miaskowskiego, na podstawie jego Rythmów.“ Rozprawę tę, która do prac Rymarkiewicza i Wierzbickiego o Kasprze Miaskowskim mało tylko nowych dorzuca szczegółów, ale zaleca się zręcznym ugrupowaniem materyału i wyczerpaniem tematu, postanowiono zamieścić w rocznikach Towarzystwa. W dyskusyi zwrócił uwagę p. dr. Celichowski na sprzeczności w poglądach Miaskowskiego, których autor odczytanej rozprawy nie podniósł i nie wyjaśnił, a p. radzca dr. Koehler uwiadomił wydział, że w aktach radzieckich Kościana odkrył kilka szczegółów dotyczących rodziny Miaskowskich.

— Na sali Lamberta odbył się wczoraj prywatny seans antispirytystyczny urządzony przez słynnego G. Homesa, żonę jego Homes Fay i pannę I. Davensport. Eksperymenta udawały się znakomicie i wykazały jasno, że owe tajemnicze siły, o których panowie spirytyści tyle opowiadają i piszą, są tylko zręcznem kuglarstwem. P. Homes wykonał kilka brawurowych sztuczek spirytystycznych bez pomocy duchów i bez przyćmienia światła, które, jak wiadomo, utrudnia kontrolę na seansach okultystów, a w zdumienie prawdziwe wprawił publiczność produkcyą tak zwanego „Sehmedium“. Na życzenie p. Homesa wkładano do drewnianego pudełka różne przedmioty, jak szpilki, pieniądze, zapałki, spinki i t. d., a pani Homes Fay, siedząca na estradzie z zawiązanemi oczyma odgadywała charakter przedmiotów bez pytania ze strony znajdującego się między publicznością męża. Wykluczoną zatem została możliwość, by w formie pytania podano odpowiedź. Eksperyment z parawanem, z poza którego tajemnicza ręka wyrzucała różne przedmioty np. tamburyna, kartofle, kości i t. d. udał się również najzupełniej, a zręczność p. Homes Fay, która uwolniwszy na mocy jakiegoś „tricku“ ręce swe z uścisku osób kontrolujących, funkcye duchów spełniała, powszechny podziw zbudziła. Na seans otrzymali zaproszenie reprezentanci prasy poznańskiej, lekarze, profesorowie, adwokaci, i wybitniejsze osobistości miasta Poznania.

— We wtorek odbył się w teatrze polskim koncert barytonisty p. Bernhardta, który siłą, pełnią i układem głosu swojego zachwycił publiczność. Oddając hołd zasłużony talentowi artysty, przemilczeć jednak nie możemy, że głos jego jest nieco suchy i twardy. Modulacya nie zawsze była zadawalniającą, a fortissima uderzały gdzieniegdzie krzykliwością pewną. Mimo to zaliczamy koncert p. Bernhardta do najwybitniejszych momentów ostatniego sezonu koncertowego, podnosząc z najwyższym uznaniem niepospolity materyał głosowy szeroką skalę i czystość frazowania. Wyrażamy w końcu życzenie, aby w drugim koncercie, który odbędzie się w przyszłym tygodniu, pan Bernhardt w artystyczniejszem wystąpił towarzystwie.

— Znany recytator Konopka wystąpił onegdaj na sali Bazarowej i zyskał sobie powszechne uznanie deklamacyą swoją. Konopka rozporządza wręcz zdumiewającą pamięcią, która mu w przeciwieństwie do słynnego Strakoscha pozwala całe dramaty (Uriel Acosta, Hamlet) recytować bez książki. Gimnastyka głosu deklamatora naszego jest niepospolita, interpretacya jednak nie zadowolniła nas wszechstronnie.

— Znany polsko-francuzki dramaturg Stanisław hr. Rzewuski wystawił w bieżącym tygodniu w paryzkim teatrze „Porte Saint Martin“ pięcioaktowy dramat historyczny p. t. „Tibère à Caprée“. Sztukę, wystawioną z wielkim przepychem nakładem autora, przyjęła publiczność i krytyka nader zimno. Równy los spotkał dawniejszy utwór Rzewuskiego p. t. „Mściciel“, odegrany na scenie lwowskiej.

— Słynny malarz węgierski Munkaczy otrzymał od rządu swojego polecenie odtworzenia sceny historycznej: „Marya Teresa i książę Józef w sejmie presburskim w otoczeniu magnatów wołających: „Moriamur pro rege nostro.““

— Olbrzymi adres. Międzynarodowe „Towarzystwo wstrzemięźliwości chrześciańskiej“ zapisze się w dziejach ludzkości niezwykłym faktem. Komitet jego, znany z nieugiętej wytrwałości, przygotowuje od lat 7 olbrzymi, poliglotyczny adres, zredagowany we wszystkich znanych dotąd językach kuli ziemskiej. Petycya ta podpisana przez dwa miliony, a razem ze stowarzyszeniami trzy miliony osób, upraszą rządy cywilizowanych krajów o zniesienie handlu napojami wyskokowemi i opjum oraz wszelkich uprawnionych źródeł występku. Chcąc spełnić polecone sobie zadanie zamierzają delegatki przedsięwziąć podróż dokoła świata; przyczem za organizatora tej orginalnej wycieczki i złączonych z nią demonstracyi służyć im będzie dr. Lunn.

— Paryzka „Illustration“ zamieszcza stale rysunki z przedstawień teatralnych z podpisem Zier. Są to prace naszego rodaka Zierkowskiego, który w Paryżu jako illustrator wyrobił sobie niezwykłe powodzenie.

— Nowa powieść Zoli. Przed tygodniem dziennik paryzki „Gil Blas“ rozpoczął druk najnowszej powieści Zoli p. t. Lourdes. Zola zapewnia, że czytelnicy nie znajdą w dziele tem nic takiego, coby mogło być uważane za atak przeciw religii.

— Berlińska publiczność ujrzy w przyszłym sezonie teatralnym same „Widma“. Potężny Ibsenowski dramat ukaże się bowiem równocześnie na trzech scenach: w Residenztheater, Deutsches Theater i Lessingtheater. Cenzura berlińska nie stawia już obecnie trudności wprowadzeniu sztuki tej na deski scenic. Przed 4 laty pozwolono wystawić „Widma“ tylko jednorazowo na matinée w „Residenztheater“. Równocześnie dowiadujemy się, że dyrektor Blumenthal zakupił trzyaktowy dramas Dreyera p. t. „Drei“ i wystawi go w początkach zimowego sezonu.

— W Paryżu odbywa się obecnie na sali Melpomène wystawa projektów nowego typu marki listowej dla rzeczypospolitej francuzkiej. Dotychczas nadesłano 700 projektów, które odznaczają się w przeważnej części wielkim artyzmem i orginalnemi pomysłami.

Zmarli:

Stanisław Wolski utalentowany artysta-malarz i rysownik.

Dr. Józef Cytwic, autor pracy „o trądzie w Polsce“, drukowanej w Archiwum Virchowa.

Dr. Bazyli Nadler, profesor uniwersytetu odeskiego, autor pracy p. t. „Cesarz Aleksander I i idea św. przymierza“.

Klemens Szulakiewicz, artysta-skrzypek, dyrektor Tow. muzycznego w Kaliszu.

Dr. Adolf Brecher, lekarz i poeta, zmarł w Ołomuńcu.

Emil Pinel de Grandchamp, malarz portretowy i rodzajowy.

Karol Blaas, utalentowany malarz, twórca fresk w wiedeńskim arsenale, ojciec słynnych malarzy Eugeniusza i Juliusza Blaasa.

Jan Karol Galisard de Marignac, niegdyś profesor chemii w uniwersytecie genewskim, znany z prac o ozonie. Zmarł w Genewie.

BIBLIOGRAFJA.

— Pułkownik Struś. Ludzie i wypadki od 1861 do 1865 r. Lwów. 1894. Cena 8 mr.

— Wł. Bełza. Miscellanea. Lwów. 1894. Cena 3,60 mr.

— Wojciech Dzieduszycki. Król Bolesław II. Tragedya w 5 aktach. Lwów. 1894. Cena 1,60 mr.

— Grant Allen. Powieści dziwne. Z angielskiego przełożyła Z. Grabowska. Warszawa. 1894. Cena 2 mr.

— Włodzimierz Zagórski (Chochlik). Nowelle. Serya II. Kraków. 1894. Cena 2,80 mr.

— K. Waliszewski. Autour d'un trône. Catherine II de Russie. Paris 1894. Cena 8 mr.

— Dr. S. Zeisel. Chemia nieorganiczna i organiczna. Przełożył z niemieckiego Dr. M. Flaum. Warszawa 1894. Cena 15 mr.

— K. Ehrenberg. Świat fejletonowy. Kraków. 1894. Cena 2,40 mr.

— Dr. Al. Raciborski. Historya i psychologia szermierki. Lwów 1894. Cena 0,80 mr.

— Dr. Józef Tretiak. Z dziejów rosyjskiej cenzury. Kraków. 1894. Cena 1 mr.

— Antoni Małecki. Kronika Baszka czyli t. zw. Kronika wielkopolska. Lwów 1894. Cena 1 mr.

— Bronisław Dembowski. Słownik gwary podhalskiej. Kraków. 1894. Cena 1 mr.

Odpowiedzi Redakcyi.

— N. N. w Dreźnie. Co do W. Ks. Poznańskiego i Królestwa to zaręczyć możemy, że zwyczaj ten nie jest w użyciu. Jeżeli zaś pojawia się gdzieniegdzie sporadycznie, to za import niemiecki uważać go trzeba.

— St. w Br. Historya literatury słowiańskiej Spasowicza nie zawiera dziejów literatury rosyjskiej. Polecamy krótki „Zarys współczesnej literatury rosyjskiej“ p. Jana ze Śliwina i dzieło Reinholdta „Geschichte der russischen Litteratur.“ Zwracamy jednak uwagę, że książka Reinholdta tylko w drugiej połowie przedstawia wartość istotną.

— Karolowi w G. Autor listów z „Krakowskiego Przedmieścia“ zastrzegł sobie anonim, którego nam zdradzić nie wolno.

— Panu S. S. Paszkwilów nie zamieszczamy, chociażby nawet przebijał się w nich prawdziwy talent literacki.

Od Administracyi.

Prosimy szanownych abonentów, którzyby za stósownem wynagrodzeniem odstąpić chcieli Nr. 1, 2, 3 i 4 „Przeglądu“, o zgłoszenie się do Administracyi pisma naszego Piekary Nr 7.

— Ogłoszenia przyjmujemy tylko do każdej środy, godz. 12-ej w południe.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Masław Zmorski z Poznania. — Nakładem: „Przeglądu Poznańskiego.“ Czcionkami W. Simona w Poznaniu.